WIZERUNKI

I ROZTRZĄSANIA NAUKOWE.

WIZERUNKI

I ROZTRZĄSANIA NAUKOWE.

POCZET NOWY.

TOMIK PIĄTY.

WILNO.

Józef Zawadzki własnym nakładem.

1836.

Dozwala się drukować, pod tym warunkiem, aby po wydrukowaniu złożone były trzy exemplarze w Komitecie Cenzury. Wilno 1836 d. 16 Lipca.

Cenzor L. Borowski.

LITERATURA HINDUSTAŃSKA.

KAM-RUP.

NA WSZYSTKICH punktach globu ludzi oglądamy. Widzimy ich białych, różowych, czarnych, czerwonych, miedzistych. Każda ziemia zarówno swój fenomen ludzki, jak fenomen roślinny i mineralny wydaje. Bawół jest indyjski, wół europejski. Profil Araba nie jest tenże sam co profil Chińczyka. Toż samo się z poezyą i ze sztuką dzieje. Daleko jest od piramid egipskich do pagód bengalskich. Świat ten jest klawikortem; część jego każda jest klawiszem; człowiek zaś jest harmoniją głosu.

Owoż dzieje nasze aż po dni dzisiejsze.

Jeżeli, powiada Ballanch, zapytywać się będziemy wszystkich nauk mistycznych, połączonych ze wszystkiémi wyznaniami religijnémi, znajdziémy wszędzie, pod tysiącami postaci rozmaitych, jestestwo uległe śmierci, którego członki podarte rozrzucone są po całéj ziemi; oraz jestestwo, które, zarówno, szuka po całej ziemi członków rozproszonych wielkiéj ofiary; w celu złożenia w jednę zupełną całość jéj ciała.

W rozmaitych epokach, ci ludzie biali, różowi, czarni, czerwoni, śniadzi, miedziści i t. d., te członki rozproszone wielkiéj ofiary, usiłowały, przez poruszenia konwulsyjne, znaleźć się nawzajem, zbliżyć się i zjednoczyć.

Dwa przesilenia, nade wszystko, przesilenie macedońskie i przesilenie rzymskie, godne są uwagi; albowiem one, poruszyły razem, od Wschodu ku Zachodowi, powierzchnią materjalną ludów i głębią ich pojętności.

Piérwsze przywieśdź można do tych

dwóch wyrazów: Alexander-Wielki i Arystoteles.

Drugie do tych dwóch przedmiotów: *Kapitolium* i *Muzeum alexandryjskie.*

Dzisiaj się poruszenie ze wszystkich stron rozpoczyna; narody łączą się, mięszają się z sobą nawzajem, jednoczą się; a to się wszystko uskutecznia bez zgiełku, bez konwulsyj, bez cierpień: rzekłbyś, że się uroczysta chwila przybliżyła.

Każdy lud poczuwa instynkt tajemniczy, który go ku innemu ludowi popycha. Egipcyanin goli brodę; Francuz pije pącz, a Niemiec trefnie żartować zaczyna.

Niegdyś człowiek biały natrząsał się z czarnego, czarny z czerwonego, a czerwony z miedzistego.

Przed kilką lat, we Francyi, trzech członków akademij, zamknęło się pod strychem; zostawali tam, bez przerwy, przez dni ośm. Wyszli ztamtąd zupełnie wybladli. Czytali oni tam, odczytywali, rozmyślali, roztrząsali sumiennie i poważnie, bez żartu, Szekspira i Bajrona. Wy-

padek okazał, że nic zgoła w nich nie pojęli.

Nowy się zmysł u nas dzisiaj rozwinął: a tym jest uczucie piękności exotycznéj i *extra-narodowéj*.

Kiedy, po raz piérwszy, we Francyi, ujrzano imiona Bajrona i Szekspira, Szyllera i Getego, mówiono o romantyzmie, o upędzaniu się barbarzyńskiém za cudzoziemczyzną, o pogardzie świętokradzkiéj dla Rzymian i Greków.

Lecz w istocie, lepszego coś, aniżeli to było. Szkoła nowa, nie odrzucała, ani Greków, ani Rzymian; przeciwnie wielbiła ich i czciła; lecz nie ich tylko samych wyłącznie i jedynie, organa jéj nauczyły się imać Proteusza pojętności ludzkiéj, we wszystkich jego przeobrażeniach.

Powtarzam jeszcze, był to zmysł nowy, który się rozwinął; był to *kosmopolityzm*, wprowadzający się przez włókna literatury; był to promień oświecający narodowości, które się modyfikowały, na ten koniec, ażeby człowiek miedzisty, przestał się na-

trząsać z człowieka czerwonego, człowiek zaś czerwony z człowieka czarnego, a czarny z białego.

Ludy spójrzały się po sobie, i znalazły nawzajem, że są pięknémi. Niepojęty i cudowny jakiś powab skłonił je nawzajem jedne ku drugim. Przypatrywali się sobie, w swojéj poezyi, oraz w swojéj Religii.

W poezyi, pod rozmaitémi formami, uznali toż-samość serca ludzkiego.

Istota ludzka jest jedna i taż sama; sprzeczności rodów muszą mieć swój koniec.

W Religii, pod rozmaitémi symbolami, tenże sam grunt tradycyj piérwotnych znaleźli, który, prędzéj, czy poźniéj, w Chrystyanizmie się rozstrzygnąć musi.

Krzyż święty jest cudotwornym talizmanem, który złoży nanowo członki wielkiéj ofiary i powróci jéj jedność.

Owoż Chrystyanizm jest własnością pospolitą ludów; jest on zachodnim, wyniknąć przeto musi koniecznie oddziaływanie od Zachodu na Wschód. To oddziaływanie już się rozpoczęło: Bajron, Szatobryan,

Lamartine, wyciskają ślady swych kroków na piaskach pustyni. Jacquemont, umiérając podnosi swe oczy ku niebu indyjskiemu. Oficerowie europejscy, w Konstantynopolu, nauczają obrotów i musztry wojennéj żołnierzy Mahmuda, chorągiew francuzka na murach Algeru powiéwa.

Nasi uczeni oblegają Azyą we wszystkich jéj kierunkach. Humbold jéj doliny i jéj góry wymierza. Szlegel w jéj świętym języku genealogii narodów europejskich bada. Baron Ekstein, Ballanche, La Mennais, obracają tę starożytną umiejętność braminów, która cała nasiękła jest piérwotną nauką ludzkości.

Indye wyzuwają się, od czasu do czasu, ze swoich obsłonek; słuchamy ich pieśni; widzimy oczy ich muzy, oglądamy ich ptaki barwione, ich niebo złote, ich ciepłe morze, ich palmy.

Co to za roskoszne dzieło, dramat Sakuntali, którą nam Chezy wyłożył! Ileż to poezyi, ileż kolorytu, w dramatach indyjskich, przywiezionych do Anglii przez

Wilson'a, Francuzóm zaś przez Langlois objawionych! Apudy pokazał nam sto pereł poetyckiéj korony, którą się Amaru, Tybull indyjski zaszczyca; a teraz P. de Tassy wystawia poemat Tahciu-Uddin'a: Przygody Kàm-rûp'a.

Témi dniami, zdarzyło mi się widzieć jednego młodego, dwudziesto-letniego Anglika, który się pakował wyjeżdżać do Indyj. Mówił o téj podróży tak właśnie, jak my o wycieczce do *Baden-Baden* zwykliśmy rozprawiać.

Znam ja niebo i rośliny indyjskie, z rysowanych tylko jedynie przedmiotów tego kraju, które P. Loiseleur de Long-Champs, raczył mi, w rękopismach biblioteki królewskiéj okazać; lecz zdaje mi się, że nie masz kraju na świecie godniejszego zwiedzenia.

Wszystkie płody literatury hindustańskiéj, pociągnione są barwą taką, jaka się nigdzie nie znajduje. Jest to barwa powietrza, liści, wody, słowem wszystkich rzeczy ziemskich, którą poezya wydadź powinna.

Barwa ta, którą ja przedziwną znajduję, przynajmniéj jest ciekawa; chciałbym dadź jéj wyobrażenie. Wezmę moję osnowę w Kâm-rûp'ie, Tahciu-Uddin'a i P. de Tassy. Rozsieję tam to wszystko, cokolwiek moja erudycya indyjska, zdoła mi tylko nastręczyć z barw miejscowych. Będzie to kartka nie tak nadobna, ani tak obszérna jak u P. de Tassy; lecz otrzyma całe powodzenie, jakiego tylko życzyć jéj mogę, jeżeli natchnie żądzę czytania poematu Tahciu-Uddin'a, z uczonémi notami, które go wyjaśniają, a nade wszystko heroiczny zamiar dla białego człowieka francuzkiego, uczenia się sanskrytu z P. Burnouf, oraz udania się, jak mój młody Anglik, do Indyj.

I.

Znajdował się król, którego Mahâraż-Pit nazywano. Panował on nad Aud'em i nad Gorackh'em. Posiadał on piękne pałace malowane i złocone, słonie, które go witały

swojémi trąbami, czarne sarneczki, które lizały jego stopy, i rzezańców czarnych, którzy muchy z jego twarzy pawiémi ogonami spędzali. Miał on sześciu przyjaciół, i jakichże jeszcze przyjaciół! swojego ministra, swojego lekarza, swojego malarza, swojego astrologa, swojego jubilera i swojego muzyka. Ale nie miał syna, i to go w rospacz wprawiało.

—Nie chcę bydź, rzekł, daléj królem; mój pałac jest czarny, moja korona ponura, albowiem nie mam syna. Przywdzieję czarną sukmanę, namaszczę moje ciało kałem krowim, ogolę moję głowę, wezmę naszyjnik żelazny, zostanę pielgrzymem i pójdę, z naczyniem glinianém w ręku, żebrować po miastach: Brama zostanie pobudzony do litości i da mi potomka.

Sześciu przyjaciół namyślało się długo i wiele, i nic nie uradziło. Mądrzyż to byli mężowie, ci sześciu przyjaciół Mâhâraża!

Nakoniec minister przemówił:

—Najjaśniejszy Panie, ty jesteś królem,

powinieneś przeto mieszkać w pałacu i nosić koronę. Ale są żebracy i pielgrzymi, ci powinni wędrować i prosić rajasów o jałmużnę. Nie błagaj jałmużny, ale ją raczéj dawaj. Oni będą boga prosili za ciebie, a bóg da tobie syna.

Król znalazł, że minister jego złotémi przemówił słowy.

—Karamszandzie, rzecze, z ciebie jest mądry minister.

Minister wybudować rozkazał ogromny gmach z cegły, napełnił go zbożem, ryżem, baranami, płótnem, matami, bawełną. Skoro się tylko pojawił żebrak albo pielgrzym jaki w mieście, prowadzono go zaraz do wielkiego gmachu, myto go i odziewano, karmiono i opatrywano, zalecając: Proś Boga, ażeby Mâhâraż miał syna.

Pewnego dnia przybył czcigodny derwisz w niedźwiedziéj skórze; minister rzekł do niego:

—Czcigodny derwiszu, bierz i pożywaj; król nasz nie ma syna, a ty bardzobyś dobrze uczynił, gdybyś mu téj łaski uprosił od Boga.

Derwisz dobył zpod swojéj skóry niedźwiedziéj jabłko z drzewa sri, téj wielkości, co pomarańcza, i rzekł:

—Jeżeli król kocha królową, a królowa zje to jabłko, Bóg ich obdarzy synem.

Minister pobiegł natychmiast i odniósł królowi słowa cudowne i cudowny owoc: Mâhâraż nie posiadał się z radości: przebiegł on śpiesznie swój pałac, powtarzając imie boże, i oddał jabłko królowéj Sûndar-rûp, małżonce swojéj.

Sûndar-rûp natychmiast udała się do kąpieli, z niebem i z gwiazdami w sercu. Kazała siebie namaścić wonnościami; potém zjadła cudotworcze jabłko. Król znalazł w niéj nadzwyczajną piękność; pieścił się z nią i uściskał serdecznie; a tegoż dnia samego królowa poczęła.

Owoż zważcie tylko cuda! małżonki sześciu przyjaciół szczęśliwego Mâhâraż-Pit'a, poczęły także, tegoż dnia samego.

A to się wszystko dla tego stało, ażeby królowie i małżonki ich królowe, które następców nie mają, dawały ryż i płótno,

ubogim żebrakóm swojego królewstwa i pielgrzymóm.

II.

W dziewięć miesięcy potém, oblicze Sûndar-rûp'y, które było tak różane jak kwiat judejskiego drzewa, pożółkło, stając się do korzenia *wety-weru* podobném. Pałac zajaśniał, nakształt czarodziejskiego pałacu, a Mâhâraż dowiedział się, iż mu się *kunwar* (następca) urodził.

Zwołał swoich *omhras'ów*, *rajas'ów*, *mansebdars'ów* (*), przywdział szatę atłasową zieloną i włożył naszyjnik sadzony rubinami.

Kunwar był biały jak księżyc i rumiany jak słońce przy wschodzie. Omhras'owie ofiarowali mu róże, wonności i drogie kamienie. Dobry król płakał z radości; chciał ażeby wyprawiono uroczystość w całém mieście, i ażeby wszyscy się radowali.

*) Urzędnicy dworscy.

Postroili się wszyscy w barwy jak szmaragd zielone, żuli betel i namaszczali się wonnościami. Powietrze się dźwiękiem rozmaitych muzycznych narzędzi rozlegało. Bajadery wyprawiały szykowne tańce i sztuczne wykonywały skoki. Kurzono hukkę, pożywano owoce suche i konfitury: nie stawało tylko na téj uroczystości jaj okrytych godłami, a każdyby powiedział, że to jest święto Nóroza.

Astrologowie natychmiast złożyli horoskop kunwara, wznieśli *navakiraha-sakkaram*, przypatrywali się dziecięcia planetóm, *Schiven'owi*, *Paruvati'i*, potém rzekli do Mâhârażа:

— Uroda twojego syna podobna będzie do piękności raju; kochać on będzie jak Nala i Damayanti, ale z przyczyny swojéj miłości będzie nieszczęśliwym. We dwunastym roku, gwiazdy mu wielkiém niebezpieczeństwem zagrażają: miano jego powinno bydź Kâm-rûp, postać miłości. Taka jest wola Bramy.

Mâhâraż bardzo się zasmucił; pytał

on się astrologów, a nade wszystko astrologa swojego przyjaciela:

— Przepowiedzieliście niebezpieczeństwo, rzekł do nich, nie moglìżbyście też przecie jemu zapobiedz?

Astrologowie namyślali się długo i nic nie uradzili.

Nakoniec minister rzekł:

— Ponieważ dwunastemu rokowi książęcia gwiazdy zagrażają, potrzeba zatém czuwać, aż póki rok ten nie upłynie.

Mâhâraż ucałował ministra swojego w usta:

— Karamszandzie mówiąc, z ciebie wielki jest ombra!

Minister kazał zbudować w mieście nowy pałac. Mury jego były marmurowe i świetne jak źwierciadło; widziano w nim piękne posągi, wróżkami i perisami malowanémi przyozdobione. Pałac ten otoczony był ogrodem, który kioski, kwiaty, zielone trawniki, strumienie wody żywéj i cieniste zarośle zdobiły. Sarny, zające, papugi, strusie, pawie, ożywiały ten ogród i na-

pełniały go rozmaitémi głosy. Tam to wychowywany był kunwar.

Przydano mu za towarzyszów synów sześciu przyjaciół królewskich.

W czwartym roku kunwar jeszcze ni razu nie był wyszedł z pałacu.

W piątym roku dano mu tabliczki złote.

Przystąpiono do nauki jego i sześciu jego towarzyszów: syn ministra uczył się sztuki rządzenia; syn lekarza sztuki lekarskiéj; syn jubilera, jubilerstwa; syn astrologa, astrologii; malarstwa uczył się syn malarza; muzyki zaś syn muzyka.

W siódmym roku dopiéro pozwolono kunwarowi wychodzić z pałacu, ale mu wzbroniono wychylić się za ogród.

We dnie, rozrywał się on wypuszczaniem latawców w górę, wieczorem zaś, przy świetle księżyca, unosił się na dzielnym rumaku.

Kiedy się kunwar zbliżał do dziesiątego roku swojego życia, minister Karamszand podwoił czujność około niego. Nie odstępowano kunwara ani we dnie, ani w nocy.

Wybiła fatalna godzina. Kâm-rûp powrócił z polowania; chciało mu się spocząć; we śnie więc tym miał widzenie.

Owoż zważcie tylko cuda! o mil trzysta od *Audu*, Kala, córka Kâm-râź'a, cesarza *Sarândipu*, poczuła, w tejże saméj godzinie, że się jéj oczy na sen zamykały, a we śnie takież same miała widzenie, co i kunwar Kâm-rûp.

A to wszystko było dla tego, ażeby królowie i królowe, które wiedzą znaczenie gwiazdy swojego kunwara, nie usiłowali uchylić go zpod wyroku bramy.

III.

Owoż senne marzenie kunwara i księżniczki Kali. Kâm-rûp widział piękny ogród. Kruki czarne przelatywały po lazurze niebieskim, a słowiki nóciły w gęstwinie liści: rzeka przezroczysta płynęła po piasku, ptaki wodne pływały pomiędzy kwiatami: brzegi téj rzeki ubarwione były różami, fijałkami i lilijami. Pomarańczowe, cytry-

nowe i wszelkiego gatunku rodzajne drzewa zapraszały kunwara na swoje owoce, a daniele i jelonki oswojone, pomiędzy kwiecistémi zaroślami igrały.

Był to ogród księżniczki Kali, córki cesarza Kâm-raża. Twarz księżniczki Kali była tak białą jak kwiat melissy; jéj jagody miały okrągłość jabłka gulabu, głos jéj podobny był do pieni kokili, oczy jéj słodszy miały wyraz niż wejrzenie sarnie, jéj małe stopki nagie ubarwione były różowym proszkiem madhì, a missi nadawało jéj zębóm czarność każalu. Tysiące młodych dziewic otaczało ją, jak naszyjnik perłowy. Była ona czysta jak dziewica, szczéra zaś i otwarta jak dziecię. Król Kâm-râż słuchał z roskoszą brzęku grzechotek złotych, zawieszonych u kostek nad jéj stopami: na jéj widok słońce się wzruszało, a księżyc się srébrzystym obłokiem zasłaniał.

Kâm-rûp postrzegł przechodzących przez ogród rzezańców.

Księżniczka, rzekli oni, nadejdzie z téj strony; niechaj więc każdy ustępuje.

Ale urok jakiś czarodziejski zatrzymał kunwara, ukrył on się pod drzew liściami, z sercem wzruszoném i z obłędném drżeniem.

Rój młodych dziewic biegł za rzezańcami; chód ich był równie lekki jak lot ptaków w gaikach; ubrane w suknie różowe trzymały się one za ręce: postrzegły kunwara.

—Oh! zawołały one, mężczyzna! nie przystępujmy ku niemu bliżéj; nie przemawiajmy do niego: zostańmy tutaj wszystkie, a jedna z nas niechaj biegnie uwiadomić o tém *Lotę*.

Była to ulubiona powiernica księżniczki Kali. Nadbiegła ona, i niemieszkanie odkryła kunwara w gęstwinie: pięknością jego nadobną została zachwycona.

—Kto ty jesteś? rzekła do niego; co tu robisz? jestżeś książęciem, genjuszem, czarnoksiężnikiem albo szatanem? Czemu to poglądasz, z głową tak podniesioną do góry? Wiészże o tém, że jesteś u księżniczki Kali? wiészże o tém, że ona każe ciebie

wtrącić do więzienia, kiedy się dowié, że ty przeniknąłeś do jéj ogrodu?

Kâm-rûp uderzył się dłonią w czoło; i odpowiedział, nie opuszczając swojéj w liściach kryjówki:

—Nie należę ja do nieba, lecz do ziemi; nie wiém gdzie się znajduję, i dla czego jestem tutaj, pomiędzy wami.

Lota przyłożyła swój mały paluszek do zębów, nachyliła głowę, potém do pałacu księżniczki Kali pobiegła.

—Córko Kâm-râża, rzekła ona, znajduje się w twoim ogrodzie młodzieniec, którego usta podobne są do pączka róży; zdaje się on bydź pełnym poszanowania i bojaźni na samę wzmiankę twojego imienia; jeżeli taka jest twoja wola, każę mu wyniśdź.

Lecz Kala przybrała postawę dostojną.

—Przyprowadź go, przed moje oblicze, rzekła, uprzedź moich czarnych niewolników, niechaj go w kajdany okują; potrzeba, ażeby kaźń jego przeraziła co najzuchwalszych!

Młode dziewice przybliżyły się i wzięły kunwara za ręce.

—Dokąd mię prowadzicie? powiedział.

—Posłuszne jesteśmy księżniczce Kali; jeżeli się będziesz opiérał, na przyprowadzenie ciebie gwałtu zażyjemy.

To mówiąc, porwały go za kędziory jego włosów, związały mu ręce giętkiemi łodygami kumudy.

Jedna z nich rzekła:

—Księżniczka potrafi przykładnie skarcić twoje zuchwalstwo; i nikogo nie weźmie odtąd chętka naśladowania ciebie.

Inna dodała:

Wtrącą ciebie do tarasu, jak noc czarnego.

Inna znowu:

—Poznasz się tam z mrówkami i ze skorpjonami.

Każda z nich wreszcie przemówiła to, cokolwiek przyszło jéj do głowy.

Kâm-rûp chował milczenie. Padł na kolana przed swojémi nadobnémi strażniczkami.

— Oh! błagam was, nie prowadźcie mię przed księżniczkę Kalę! wywiedźcie mię raczéj z tego ogrodu.

I spoglądał na nie wszystkie; ale oczy jego żadnego litościwego wzroku nie spostrzegły. Biédny kunwar płakał i jęczał smutnie. W takiej to postawie ukazał się księżniczce Kali.

Kala tak była piękna jak Maïa, matka boga miłości. Brwi jéj były łukami, a strzałami wejrzenia. Skoro kunwar ją ujrzał, raniony został w serce i padł bez pamięci.

Ze swojéj strony księżniczka, na widok Kâm-rûp'a, zadrżała, jak listek delikatny assuty. Zapomniała na swoje groźby. Rzuciła się ku książęciu. Dała mu wonności, któréminy oddychał, i wodę różaną na oblicze jego wylała.

Kâm-rûp orzeźwiał; wzrok jego szukał oczu księżniczki; ale nie mógł blasku jego wytrzymać: omdlał więc powtórnie.

Kiedy odzyskał zmysły, przypatrywał się Kali w niemém podziwieniu. Kala po-

glądała także na kunwara w milczeniu, a żadne słowo nie potrafi wydadź, co czuli oboje w sercu swojém.

Nakoniec Kala:

—Jakie jest twoje miano, rzekła, jaki kraj twoich ojców?

Kunwar odpowiedział:

—O czarodziejko, któraś mię urzekła! ojciec mój nazywa się Raż-Pit; moja matka Sûndâr-Rûp, a ja Kâm-rûp. Krajem moim jest *Aud*, a ja sam nie wiém jakie mię bóztwo tu przyprowadziło.

—Cóż tedy? rzekła Kala, nie lękaj się niczego, mieszkaj ze mną w tym ogrodzie i w tym pałacu: będziemy tu żyli razem. Ja się nazywam Kâm-Kala, a moim ojcem jest Kâm-râż, cesarz *Sarandipu*.

Kala wzięła puhar napełniony winem czérwoném, i Kâm-rûp'owi go podała, który napawał się do syta nektarem kochania. Narzędzia się muzyczne naokoło nich ozwały. Bajadery w pół-nagie, tańce swoje roskoszne z muzyką łączyły. Rzekłbyś, że to są nimfy z orszaku Indry. Nigdy kun-

war, w myśli swojéj obrazów tak powabnych nie oglądał. Dziwił się tym niewiastóm, ale tylko jedynie księżniczkę Kalę kochał. Co chwila Kala nachylała się do ucha kunwara, i mówiła mu rzeczy nader czułé; kunwar jéj, ze swojéj strony, w czulszych jeszcze wyrazach odpowiadał......

Ale niestety! najpiękniejszy sen, ma w rychle swoje przebudzenie!

IV.

Kâm-rûp się przebudził: otworzył on swe oczy, nie postrzegł już ani muzyków, ani tańcerzy, ani też królowéj, która oraz była królową jego serca. Westchnął on i zapłakał, poszarpał axamit swéj szaty, a jęki wydając spadł z łóżka na ziemię.

Sześciu przyjaciół Kâm-rûp'a podniosło się i rzekło do niego:

— Co ci jest książę? zali nie zostałeś dotknięty skrzydłem *Assury*, albo czyś nie postrzegł czegoś przerażającego, we śnie?

Kâm-rûp na to ani słowa nie odpowiedział; zdawało się, że nic nie słyszał: płakał tylko ze łkaniem, uderzał się dłonią w czoło, podarł na sobie w kawałki suknie i zemdlał.

Udano się natychmiast po Mâhâra-Pit'a.

—Kâm-rûp'ie, rzekł Mâhâraż, przemów do mnie, spórzyj na mnie; jestem twoim rodzicem Kâm-rûp'ie! i dłonią go w dłoń uderzał.

Lecz kunwar nic nie mówił i nic nie widział.

Posłano wnet po królową Sûndar-rûp.

—Mój synu, rzekła królowa, proszę ciebie, przemów słówko, jedno słówko tylko do twojéj matki Sûndar-rûp. I biła się, z rospaczy, po swoich policzkach, które aż posiniały.

Ale Kâm-rûp nic nie widział i nie przemawiał i słowa.

Zapomina się na wszystko, na ojca, matkę, zapomina się na siebie samego, kiedy się kocha.

Wezwano lekarzy, czarnoksiężników,

astrologów, brahmanów i mullasów. Lekarze powiedzieli, że kunwar cierpiał na śledzionę i na wątrobę; czarnoksiężnicy, że go urzeczono; astrologowie, że potrzeba hojne sypać jałmużny; brahmanowie, że cień *diwy* padł na młodego książęcia, i uczynili modły do Siwy; mullasowie opatrzyli go wielkiém mnóstwem talizmanów, i zapewnili, że Dżinn, albo Rakaza przybliżył się ku niemu.

Ale kunwar zawsze tylko płakał i szlochał.

Przyzwano podskarbich ze wszystkiémi skarbami; w kunwarze najmniejsze się nie obudziło żądanie. Wtenczas się przeświadczono, iż na chorobę jego nie było lekarstwa.

Sześciu jego przyjaciół przyszło do rospaczy. Syn ministra dobył puginału, przyłożył go sobie do serca i rzekł:

— Książę, ja się zabiję w twoich oczach, jeżeli mi przyczyny boleści twojéj nie objawisz.

Kunwara to rozczuliło. Łzy mu popły-

nęły obficie. Wziął za rękę Mitarszanda i sen mu swój opowiedział.

—Książę, zawołał Mitarszand, powiedz mi tylko imie twojéj księżniczki, a ja porwę ją dla ciebie, chociażby ona była za morzem, albo tak wysoko jak słońce.

—Niestety! rzekł Kâm-rûp, imie mojéj księżniczki i kraju jéj nazwanie, wyszły z mojéj pamięci: obraz się jéj tylko, w mém sercu, pozostał.

—I cóż ztąd? rzekł Mitarszand, miéj tylko nadzieję w Bramie, otrzyj łzy twoje, a ja tyle będę czynił poszukiwań, iż zakończę, wreszcie, na odkryciu téj gwiazdy twojego serca.

Mitarszand kazał nagromadzić zboża, ryżu i wszelkich zapasów do ogromnego ceglanego gmachu, podobnie, jak niegdyś ojciec jego Karamszand, ażeby to rozdawać przychodniom. Nie mówiono już im więcéj: «Módlcie się, ażeby Mâhâraż miał syna;» ale: «idźcie do pałacu, opowiadajcie przed kunwarem dzieje waszych krajów, a jeżeli przypomnicie jemu to,

czego zapomniał, złotem was i srébrem obdarzy.»

Ale Kâm-rûp nie przestawał zawsze łez wylewać, albowiem, nikt przed nim nie wspomniał, ani o mieście *Sarândip*, ani o księżniczce nadobnéj Kali.

V.

Kiedy księżniczka Kala otworzyła swoje piękne oczy, szukała ona młodzieńca z różanémi usty, lecz go nie zobaczyła. Wtenczas jęła płakać, albowiem miłość wkradła się do jéj serca. Jéj członki świéże i delikatne ugięły się, jak lilije pod ciężarem dészczu wieczornego. Jagody jéj zapadły; uśmiéch z ust jéj odleciał. Lekarze arabscy króla Kâm-raża nie mogli jéj uzdrowić, ani też nadobne przyjaciółki sprawić jéj pocieszenia. Pożerał ją i niszczył żal z nieobecności, jak promienie słoneczne w południe, niszczą obłoki.

Udała się do pagody Hardwâra. Poświęciła kwiaty i wonności Siwie; wzniosła

ducha ku temu bóztwu, i tak do niego modlitwę obróciła.

—Siwa Mahadéo, jeżeli to sprawisz, ażeby oczy moje ujrzały kunwara, przyjdę złożyć tobie ofiary; jeżeli mi tego uszczęśliwienia odmówisz, już więcéj nie przyjdę, albowiem umrę.

Kapłanem Siwy był brahman Sumit. Miał on szatę białą i brodę białą, a trwał tego poranku na modlitwie, kiedy księżniczka weszła do pagody Hardwâr'a. Usłyszał jéj prośbę; powstał i rzekł:

—Kalo, powierz twoję tajemnicę brahmanowi, a on dopomoże ci do oglądania kunwara.

Kala podniosła oczy, i opowiedziała ze szczérą otwartością brahmanowi Sumit'owi, co się jéj marzyło we śnie. Usta jéj powtórzyły najdrobniejsze słówka książęcia, i najdrobniejsze rysy jego twarzy opisały.

—Przyprowadź jego do mnie, rzekła, a kiedy będzie tutaj, połączysz nas związkiem małżeńskim.

—Jakie jest jego miano, zapytał brahman, i jaki kraj?

—Ah! odpowiedziała K a l a, zapomniałam tego, ale czoło jego podobne jest do księżyca, uśmiéch zaś do gwiazdy *Rohini*.

Brahman zamyślił się chwilę.

—Uspokój twoje serce, rzecze, powędruję ja od miasta do miasta, od pałacu do pałacu, i zakończę na wynalezieniu pożądanego od ciebie książęcia.

Brahman S u m i t błądził we dnie i w nocy, od królestwa do królestwa, nie mogąc znaleźć kochanka księżniczki K a l i. Nakoniec przybył do miasta *Audpur'u*, a tam zaprowadzony został do ceglanego domu, w którym dano mu ryżu, tudzież do pałacu książęcia, gdzie go proszono, ażeby opowiedział swoję historją.

—Urodziłem się, rzekł brahman, w mieście *Sarandip'ie*. Na to imie kunwar padł bez zmysłów.

Potém kiedy przyszedł do siebie:

—Kâmraż jest moim cesarzem, rzekł brahman Sumit.

—Kâmraż, zawoła kunwar, jest ojcem mojéj księżniczki, a *Sarandip* jest jéj ojczyzną.

—Mój cesarz, mówił daléj brahman, ma córkę, piękną jak południe, a śliczną jak jutrzeńka, ona się nazywa Kala.

Kunwar na te słowa zemdlał znowu; potém zawołał: Kala! Kala? to ona sama! to jest jéj miano! Brahmanie, prowadź mię do księżniczki Kali; ja cię osypię złotem, perłami, dam ci królewstwo!.....

Mâhâraż chciał zatrzymać swojego syna.

—Nie, rzecze Kâm-rûp, ja bez niéj żyć nie mogę. Przebiorę się za towarzysza brahmanowego i udam się z nim w podróż, ujrzę Sarandip, krainę Kali.

—Niestety! rzekł Mâhâraż, tak było napisano: on musiał zostać ofiarą boga Ramy. Daremnie się chcemy przeciwić wyrokóm niebios.

VI.

Kâm-rûp siadł na statek w *Hugly* ze swoimi sześciu przyjaciołami. Żagle tego okrętu były purpurowe, wiosła złote, a liny jedwabne. Było na nim sześciudziesiąt wioślarzy; a widząc, jak płynął z całą swoją osadą, pod niebem jasném i na przejrzystych odmętach morza południowego, rzekłbyś, że to jest liść poświęcony darwasu z tysiącem swoich drobnych listków szmaragdowych i rubinowych.

Morze i niebo zdawały się poglądać ze słodkim uśmiéchem na miłość Kâm-rûp'a. Woda podobna była do źwierciadła; barwa żółto-perłowa firmament oświecała, w oddaleniu zaś, jak miasto z obłoków, *Sarândip* swoje pagody i swoje kopuły ponad wodami ukazywał.

—Otoż jest pałac Kâm-râża, mówił brahman Sumit; oto kościół Hardwar'a i ogród Kali. Za godzinę będziesz przy téj, która ci się we śnie ukazała.

W téj chwili uragan przeleciał ponad

wodą. Fale się podniosły, okręt został porwany i rozbity o pasma koralowe.

Kâm-rûp zniknął pod wodą. Dotknął aż do dna morskiego; widział zielonawą jasność, która foki i kaimany oświeca. Ale myśl o księżniczce Kali powstała w jego sercu, i poczuł jak ciało jego wynurzało się i ponad kryształowe wychodziło wody.

Kiedy się dostał na powierzchnią oceanu, postrzegł tylko wodę i niebo. Królowa nadpowietrzna jego imaginacyi, utrzymywała go na falach. Płynął on przez ciąg trzech kolei słońca i księżyca; wreszcie powiéw wonny podniósł jego włosy, a oko jego postrzegło kwieciste krzewy, nachylone ponad wodę.

Kunwar stanął na lądzie; wszedł do ogrodu; uszczknął nieco fig i bananów, i położył się na trawie w cieniu drzewa azohi. Znagła odgłos kroków obił się o jego uszy. Podniósł oczy i ujrzał około siebie dwadzieścia niewiast z łukami w ręku, z kołczanami na ramionach, które go skrę-

powały łańcuchami, pędziły przed sobą i mówiły:

— Obaczysz wkrótce naszę królową Râotę.

Królowa na skórze tygrysiéj leżała. Trzéj węże srébrzyste igrały w jéj czarnych włosach. Zmarszczyła brwi.

— Ukazałeś czoło mężczyzny niewiastóm *Tirây-rażu*, rzekła, musisz umrzeć. Niechaj go wtrącą do więzienia, jutro zaś o wschodzie księżyca utnę mu głowę.

Kunwar został odprowadzony do tarasu. Wylewał on łzy rzewne, i wymówił imie Kali. Wtém światło lampy rozproszyło ciemności więzienia. Kobiéta ubrana w bieli stanęła przed Kâm-rûp'em, i dała mu znak skinieniem, ażeby za nią postępował. Kunwar był jéj posłuszny. Widmo to zostawiło jego w sali marmurowéj, gdzie się znajdowały stągwie i wytryski wody różanéj, które, ani we dnie, ani w nocy nie wysychały. Kâm-rûp, przez kilka minut w ciemnościach zostawał. Wreszcie drzwi się otworzyły, a kunwar postrzegł, w oceanie

światłości, postać fantastyczną, niewiastę roskosznie, na matach bengalskich leżącą, uśmiéchającą się, któréj postać dymy wonne kadzidł do połowy zakrywały. Była to królowa Raôta.

—Pójdź do mnie, rzekła królowa, piękny cudzoziemcze, nie lękaj się niczego, ja tobie śmierci nie zadam; opowiédz mi dzieje niebiós, w których z aniołami i ptakami przebywasz.

Ale kunwar łzy tylko wylewał i powtarzał imie swojéj ulubionéj Kali.

—Wyśmiénicie! rzekła królowa, Kala jest moją przyjaciółką; ona mię bardzo często odwiedza; powiadaj mi o twojéj miłości.

Kunwar jéj opowiedział wszystkie wzruszenia swojego serca. Królowa ściskała go za rękę, i z czułém nań rozrzewnięniem spoglądała.

—Piękny cudzoziemcze, rzekła, pozwól mi, ażebym ci nalała ten puhar, w imieniu twojéj nadobnéj Kali.

Kunwar przybliżył do ust swoich wino rumiane, które mu królowa podała.

—Jeszcze! rzekła królowa.

Kâm-rûp był posłuszny. Wtenczas królowa nachyliła ku niemu swoje wonne włosy. Nieznacznie kunwar zrobił się przystępniejszy i zażylszy, królowa, w swojém nad jego dolą rozrzewnieniu, więcéj okazywała czułości; a gdy sen zamykał powieki Kâm-rûp'a, znalazł go w objęciach hożéj królowéj Raôty.

VII.

Téj nocy Kâm-rûp'owi przyśniła się księżnicza Kala. Marszczyła ona brwi, a maleńki swój paluszek gryzła zębami.

—Oszukałeś mię, rzekła. Troska z twojéj nieobecności wysusza mię jak słońce listek; a ty człowieku bezwstydny, ty się możesz, do innéj, oprócz mnie, kobiéty uśmiéchać.

Kâm-rûp przebudził się cały we łzach; i w swojéj rospaczy spadł z łóżka.

—Co ci jest, rzekła Raôta?

—Przeląkłem się, odpowiedział Kâm-rûp.

Królowa dopomogła kunwarowi do powstania. Powiedziała mu, ażeby się niczego nie lękał i spokojnie zasypiał. Lecz zaledwo zamknęła swe oczy, kunwar natychmiast wymknął się z pałacu. Błąkał się on pod drzewami; płakał, jęczał, wzywał swojéj ulubionéj, i padł bez zmysłów na piasku.

Wróżka Szandar-Muckh przelatywała wtenczas w powietrzu. Zwiedzała ona cztéry główne punkta. Była utrudzona. Chciała wypocząć. Zaleciła ona dwunastu swoim podwładnym wróżkóm, unoszącym jéj lektykę na swoich skrzydłach, ażeby się spuściły do ogrodu królowéj Raôty. Kiedy się przechadzała, przy świetle księżyca, po murawie ubarwionéj kwiatami, postrzegła pomiędzy pączkami róż Kâm-rûp'a omdlałego.

—Oh! co za prześliczny rajah, rzekła, połóżcie go przy mnie, w mojéj lektyce.

Dwanaście wróżek, szybują natychmiast w górę, wzniosło się pod obłoki; przeleciało ponad siedmią oceanami, i złożyło

swoję monarchinią, w jéj królewskim pałacu.

Nie masz ani ludzi, ani sarn, ani słoniów, ani much, w krainie wróżki Szandar-Muckh; same się tam jedynie wróżki znajdują: jest to pasmo gór nagich, na których drzewa nie rosną, a które noszą naźwisko góry *Kâf*. Ztamtądto bohatyrowie adamowego rodu, wygnali byli diwów i genjuszów. Góra Kâf jest klinem globu, bez niéj ta biedna ziemia nasza rozsypałaby się w kawałki, albowiem, od stworzenia, bardzo się poszczeliła.

Kunwar otworzył oczy.

—Piękny rajahu, rzekła wróżka, ja ciebie kocham i chcę ażebyś mię kochał nawzajem. Nie ujrzysz więcéj Raôty. Lot orli nie zdoła ciebie zanieść na ziemię. Potrzeba, ażebyś się nazawsze, z synami i z córkami Adama pożegnał.

Kunwar uderzył się w czoło, podrapał sobie oblicze, i wydał z jękami bolesne łkania.

— Niestety! niestety! rzekł do wróżki Szandar-Muckh. Tak było napisano. Brama jest potężnym bogiem. Człowiek mu tylko ulegać musi: wszelakoż, to jest bardzo okrutnie.

Nadobna wróżka nie odstępowała go na chwilę. Przymusiła go do oddychania wonnościami. Dała mu nieźmierną moc pereł, dyamentów; przystroiła go w materye kosztowne. Ale kunwar zawsze płakał i jęczał, powtarzając: Kala! Kala!

Znajdował się pewny Parîzâda, książę genjuszów, który był narzeczonym Szandar-Muckh. Dowiedział on się, że jego przyszła małżonka nie odbywała więcéj podróży ze swojémi towarzyszkami, i nie zwiedzała więcéj cztérech głównych punktów, ale dni i nocy trawiła przy młodym rajahu, w którym się do szaleństwa kochała. Zapalił on się wielkim gniewem. Czatował na chwilę, w któréj kunwar sam jeden pozostał: wtenczas porwał go, zaniósł do swojego pałacu, a bijąc po twarzy:

—Nikczemny robaku ziemski, rzecze, jak ty śmiałeś spójrzeć w oczy *Perisy*?

—Ja temu nie jestem winien bynajmniéj, rzekł Kâm-rûp. Wróżka Szandar-Muckh zabrała mię gwałtem. Ja nie kocham wróżki Szandar-Muckh: kocham jedynie tylko księżniczkę Kalę.

—Parîzâdo, rzekł jeden z genjuszów, rozkaż *rąkazasóm* pożrzeć tego owada.

Parîzâdo'wie porwali kunwara na swoje skrzydła. Szukali, w gór wąwozach rakazasów, lecz nie mogli żadnego z nich znaleźć.

—Rajah'u, rzekli genjusze, dajemy tobie trzy rzeczy do wyboru; zostawić ciebie na ziemi dla pożarcia przez rakazasów; wrzucić do rzeki krokodylóm, albo, jak perłę, złożyć cię w morzu.

—Na to wszystko, Kâm-rûp odpowiedział tylko: Kala! Kala! Kala!

Parîzâdo'wie kołysali go przez chwilę w obłokach, a potém wrzucili do oceanu.

VIII.

Myśl o Kali utrzymała jeszcze kunwara na powierzchni morskich bałwanów.

Płynął on przez trzy kolejne odmiany słońca i księżyca, i wyszedł z wody na wybrzeże piasczyste, ocienione lasami.

Znajdowały się słonie, bawoły, lwy, w téj puszczy, tudzież starzec siedzący na pniu mchem porosłym.

— Czy tu, zapytał kunwar, mieszka księżniczka Kała?

— Tak jest, odpowiedział starzec. Siadaj tylko przy mnie. Ja ci udzielę o niéj wiadomości.

Kâm-rûp usiadł z pociechą w sercu. Nagle potém uczuł się ściśnionym jakby żelaznémi klubami, a głos nieznajomego zawołał:

— Wyśmiénicie! otoż rumak przybywający do mnie ze świata niewidomego. Był to Tasma-païr.

Kâm-rûp chciał się opiérać. Tasma-païr obłożył go razami: ścisnął mu gardło

swojémi nogami i dusił; kunwar uległ nareszcie, wydając jęki.

Jego malutkie stopy liljowe poszarpały ciernie; jego srébrzyste ciało piasek pobrudził. Tasma-païr zasypiał na grzbiecie książęcia, książę zaś miał za posłanie głogi i ciernistę krzewy.

Pewnego dnia poniósł on swojego jeźdźca na wysoką górę. Upał był doskwiérający; Kâm-rûp ujrzał złociste winne grona, wiszące na łodygach. Zebrał ich ilość znaczną i wycisnął sok do bukłaków. Po trzech dniach zrobiło się z tego wino wyborne, pięknego purpurowego koloru; dał go się napić Tasma-païr'owi, który podskoczył i wykrzyknął z radości. Krzyk ten usłyszano z miasta. Inni Tasma-païr'owie nadbiegli w wielkim galopie na swoich rumakach z ludzi. Zaczęli pić; pospijali się, wyli, ryczeli, śpiéwali: połowa z nich usnęła; druga zaś połowa na karkach swoich rumaków zawisła.

—Pozabijajmy ich! rzekł Kâm-rûp.

Każdy rumak zadławił swojego jeźdźca.

Potém się rzucili wszyscy do nóg swojego wybawiciela.

—Potrzeba nam się rozstać, rzekł kunwar. Każdy z nas, do swego rodzinnego kraju powrócić powinien.

—Ja zostanę przy tobie, rzekł jeden z tych ludzi!

—Któżeś ty jest, rzekł Kâm-rûp, i dokąd się udajesz?

—Ja jestem Mitarszand, syn Karamszand'a; wyprawiłem się z *Audu*, a teraz szukam książęcia pana mojego, kunwara Kâm-rûp'a!

—Masz go przed sobą, rzekł kunwar.

IX.

Mitarszand, syn Karamszand'a, opowiedział swoję historją kunwarowi.

—Kiedy się statek pogrążył, rzekł, porwałem ławę wioślarską. Fale miotały mną przez czas niejaki i wyrzuciły mię na tę wyspę. Błąkałem się po zaroślach, i wielkim głosem ciebie mój książę wzywałem.

Jeden z diwów, ogromnéj postaci, zjawił się przede mną. Nogi jego deptały trawę, a włosy igrały z wiatrem pomiędzy gwiazdami. Otworzył gębę, z któréj wybuchające płomienie postrzegłem. Wystawił język, a dészcz ognisty przebiegł całe jego ciało. Porwał mię, zaniósł do pieczary, i zostawił mię tam w spokojności, przywaliwszy piérwéj do niéj wéjście ogromną skałą.

Postrzegłem przy sobie trzech ludzi siedzących ze spuszczonémi głowami:

— Co to jest za kraina? zapytałem; zali nie widzieliście czasami książęcia Kâmrûp'a?

Odpowiedzieli mi, nie podnosząc oczu:

—Jesteś w śpiżarni diwa Szwergugra. Dnia jutrzejszego, w poranku, on tu przyjdzie i weźmie do zjedzenia jednego człowieka; może i ciebie, jeżeli tak jest napisano.

Wiadomość ta nabawiła mię roskoszy. Przepędziłem całą noc na powtarzaniu twojego imienia, a w poranku, kiedy żarłoczny

dîw odwalił skałę, pobiegłem na jego spotkanie, z głową podniesioną i ze śmiéjącém się obliczem.

On także śmiać się zaczął, i niosąc mię do swojéj gęby:

— Zabawny z ciebie rajah, rzecze; a wiész-że ty, że ja żywcem ciebie chcę pożrzeć?

—Wiém, odpowiedziałem, i to mi sprawuje pociechę: Kâm-rûp, ulubiony mój kunwar, zniknął w rozbiciu się okrętu; i jeżeli nie mam go więcéj już oglądać, wolę umrzeć.

—To dobrze, rzekł Szwergugra, ty wzruszasz moje serce. Zrzekam się dzisiejszego śniadania, którebym mógł mieć z ciebie; a co więcéj jeszcze, podejmuję się złożyć tam ciebie, gdzie ci się podoba.

—Zanieś mię w zarośle, w którycheś mię znalazł, rzekłem do Szwergugry. Będę tam szukał, jak piérwéj, mojego kochanego kunwara Kâm-rûp'a.

Szwergugra schwycił się do lotu, i spuścił się poza górami, w lesie. Złożył

mię ledziuchno na trawie i dał jeden ze swoich włosów.

—Jeżeli kiedykolwiek, rzecze, będziesz potrzebował mojéj pomocy, włóż mój włos do płomienia, a natychmiast stanę przed tobą.

Szwergugra odleciał: jam się błąkał po zaroślach, kiedy jeden z Tasma-païr'ów, wziął mię sobie za rumaka. Tyś przybył tutaj książę, wróciłeś mi wolność; lecz twój widok Kâm-rûp'ie, milszym jest dla mnie, nad wszelkie swobody.

X.

Mitarszand i książę Kâm-rûp przylegli na trawie, w cieniu drzewa azohi. Papuga błękitna ulatywała ponad ich głowami; potém usiadła na palcu Kâm-rûp'a.

—Sliczny ptaku błękitny, rzekł książę, ty będziesz naszym przyjacielem w tych zaroślach, nie prawdaż?

Papuga nachyliła szyję z wdziękiem,

podniosła swoje lazurowe pióra, i szare swoje nogi dziobem srébrzystym całowała. Na jednéj z jéj nóg zawiązana była wstążka różowa. Ptak ją rozwiązał: natychmiast jego pióra błękitne, jego dziob srébrzysty, jego szare nogi zniknęły, a człowiek rzucił się pod stopy kunwara.

XI.

—Jestem Aszârâż, odezwał się, twój astrolog. Kiedy nasz okręt zatonął pod wodami, powiew południowy pędził mię przez fale, jak listek. Dostałem się do lądu. Było to wybrzeże dzikie, na którém ani źdźbła trawy, ani motyla nie było. Szedłem po piasku. Płakałem i powtarzałem imie księżęcia Kâm-rûp'a. Postrzegłem pałac z Agatu. Lśnił się on jak gwiazda, pomiędzy zielonémi massami amrazów obciążonych owocem. Kwapiłem się wejśdź do tego małego raju, i jużem był przybliżył do ust pomarańczę, kiedy się wróżka zachwycającéj urody, objawiła mym oczóm.

—Jesteś u mnie, rzekła, bądź moim; ja ciebie kocham, jestem wróżką, ty mię nie opuścisz nigdy.

Wzięła czérwonego piasku, i posypała nim swoje czarne włosy.

Wzięła węgla, i poczérniła swoje różane jagody.

Wzięła skórę słoniową, i ustroiła się w nię, jak w suknią; trąba służyła jéj za turban.

—Nie lękaj się niczego, rzekła.

I swojémi rękami tę wstążkę różową do nogi mi przywiązała. Znagła podnoszę się; latam; pióra mię okrywają; mam skrzydła; jestem papugą. Wróżka bierze mię na swoje palce, pieści się ze mną, i powtarza:

—Kocham ciebie, ty nigdy mię nie opuścisz.

Dwa czyli trzy razy na dzień, rozwiązywała ona wstążkę, a ja do postaci ludzkiéj powracałem: potém zawiązywała ją, a ja znowu, postać papugi przybierałem.

Dzisiejszéj nocy, podczas jéj spoczynku sennego, odleciałem, z tą wstążką na nodze; usiadłem na téj azocce; widziałem was jakeście siadali; nadstawiłem ucha na wasze opowiadania; i natychmiast postać A-szaraża przybrałem, żebym był w stanie upaśdź do nóg mojemu kunwarowi Kâm-rûp'owi.

XII.

Kâm-rûp i przyjaciele jego, na los szczęścia się błąkali. Upał słoneczny straszliwie doskwiérał; piasek się dymił. Zrzadka rosnące palmy, ze swojémi wycmukłémi pniami i z kitami zielonych podługowatych liści, rysowały się na błękicie niebiós. Ryczenie lwów i tygrysów słyszeć się dawało; niekiedy podlatywał struś w podskokach, albo w tumanie piasku bawół przebiegał. Wtém przybliżył się ku nam starzec okryty skórą niedźwiedzią.

To jest Tasma-païr! rzekł Kâm-rûp.

—Dokąd wy zmierzacie, rzekł starzec;

zaliż nie wiécie, że ta ziemia nie jest przeznaczona dla ludzi?

— Milcz! zawołał kunwar. Tyś jest Tasma-païr. Ty chcesz nas przywabić do siebie słowami, a potém wsiądziesz nam na karki i będziesz nam ściskał szyję swojémi miedzianémi nogami.

— Jestem derwiszem, odpowiedział starzec. Mieszkam w tych pustyniach od lat sześciudziesiąt. Raz tylko jeden je opuściłem. Mój Pîr wydał mi rozkaz. Ukryłem pod moją skórą niedźwiedzią jabłko z drzewa srì, które przeznaczone było dla Sundar-rup'y królowéj *Audhpûr'u*.

— Niestety! zawołał Kâm-rûp, z tego się właśnie jabłka ja urodziłem. Życie, którem z niego wyczerpnął, jest nader gorzkiego smaku; ale Bóg jest wielki; a to było napisano.

Książę opowiedział swoję historją derwiszowi.

Starzec potrząsł białą spływającą mu na piersi brodą, i rękę pod swoję niedźwiedzią skórę podłożył.

—Brama, rzekł, wypuścił człowieka na świat dla wykrzesania z niego cnoty cierpieniami i bolesném doświadczeniem. Zachowałeś w czystości iskrę kochania, którą opatrzność jego w twém sercu złożyła. Wichry, miotające twojém przeznaczeniem, nie mogły ani jéj zagasić, ani przyćmić. Imie Kali nigdy z ust twoich nie odleciało. Zasługujesz na nagrodę. Ujrzysz Kalę. Ukażę ci drogę do miasta *Sârandip'u*, i dostania się tam nastręczę sposoby.

Derwisz dobył zpod swojéj skóry niedźwiedziéj kamyk i oddał go kunwarowi Kâmrûp'owi.

—Ten kamień, rzecze, ma własność przeistaczania wszystkich metalów na złoto; przebydź można zawady oddzielające nas od ulubionego przedmiotu; ale z sercem tylko zjednać można wzajemne kochanie.

Starzec ten powiedział jeszcze wiele rzeczy Kâm-rûp'owi. Nakréślił mu drogę jego na piasku, i poszedł daléj wśrzód palm pustyni ze strusiami i słoniami.

XIII.

Kâm-rûp i przyjaciele jego przybyli nad brzeg wielkiéj rzeki. Była ona spokojna i przezroczysta. Lśniła się przed promieniami słonecznémi, jak miecz stalowy, a piękne drzewa okrywały ją nakształt pochwy. Kâm-rûp ujrzał człowieka, który się na bieg jéj zapatrywał, i mówił:

—O rzeko, o moja matko; — albowiem wszelkie stworzenie jest dzieckiem wody;— ja chcę się udadź za twym biegiem, a jeżeli ty mię nie doprowadzisz do mojego kunwara, chcę zakończyć w twoich głębokościach życie, któreś mi dała.

Kâm-rûp zbliżył się do tego człowieka, i rzekł do niego:

—Kto jest ten kunwar, którego ty szukasz?

Człowiek ten jemu odpowiedział:

—Kâm-rûp, syn Râż-Pita! Ja jestem jego jubiler Mânnikh!

XIV.

Mânnikh, jubiler opowiedział swoję historją kunwarowi:

— Fale mię na grzbiecie swoim unosiły. Postrzegłem górę lasem okrytą, która się w morzu przeglądała. Gromada ludzi uzbrojonych wierzchołek jéj wieńczyła. Postrzegli mię zbliżającego się. Dwaj czy też trzéj z nich dali mi znak swojémi turbanami. Potém postrzegłem ich jak zestępowali, a kiedym postawił stopę na trawie, otoczyli mię natychmiast.

— Ktoś ty jest, rzekli do mnie, i zkąd przybywasz?

— Jestem Mannikh, jubiler, rzekłem; rozbiłem się na morzu z moim kunwarem Kâm-rûp'em. Mam przy sobie dyamenty, które gotów wam jestem podarować, jeżeli mię do niego zaprowadzicie.

Odpowiedzieli mi ze szyderstwem, iż nie znali mojego kunwara Kâm-rûp'a; zabrali mi moje dyamenty, samego zaś uprowadzili z sobą.

Była to banda Thag'a i Phancegar'a, która miała za swoje rzemiosło rozbijanie i łupieztwo po gościńcach. Zaledwośmy uszli sto kroków przez zarośle, wnet jazda królewska rzuciła się na nas. Zbójcy pierzchnęli; żołnierstwo mię porwało.

— Gdzie są twoi towarzysze? zapytał mię ich dowódźca.

— Są oni w morzu, odpowiedziałem, statek się nasz rozbił.

— Doprawdy? rzekł naczelnik. Jesteś tedy śmieszkiem téj bandy?

— Jestem Mannikh, odpowiedziałem, jubiler, i szukam kunwara mojego Kâmrûp'a. Jeżeliś go gdziekolwiek widział, uwiadom mię o tém.

Dowódźca kazał mię obłożyć kijami; zaprowadził mię do miasta i wtrącił do więzienia.

Wczoraj kazał mię zawołać.

— Oto jest klejnot, rzekł, którego mój jubiler nie może oprawić bez szlifowania. Chcę doświadczyć twojego talentu. Jeżeli ci się uda, jesteś wolnym; jeżeli nie, umrzesz.

Wziąłem w ręce ten klejnot. Poznałem w nim jeden z moich dyamentów; oprawiłem go bez trudności. Wychodziłem z miasta, kiedym napotkał ciebie.

Kunwar i jego przyjaciele udając fakirów, przebywali zarośle i miasta z żelaznémi naszyjnikami, i na wzór tych pokutników pozdrawiali przechodzących.

Weszli do pewnego miasta, należącego do Mâhâraż'a Kâr-Pit'a. Urzędnicy królewscy donieśli mu o ich przybyciu. Monarcha żądał ich oglądać. Uczęstował ich chlebem, owocami, i zaprosił do przypatrzenia się tańcóm swoich bajader, tudzież do posłuchania muzyki swoich kalawantów.

Narzędzia muzyczne rozlegały się po pałacu. Hoże tanecznice zaokrąglały z wdziękiem swoje ramiona ponad swémi głowami, i podnosiły aż do wysokości ust swoich różanych swoje różane stopy. Fakirowie, tymczasem, poważnie, w swoim pokutnym stroju, rozmawiali z królem.

Po skończeniu tańca, jeden z muzyków

przystąpił do fakirów, i zanócił przed nimi. Kunwar dziwił się słodyczy jego głosu; a harmonija tych tonów, jak gdyby jakowe przypomnienie, wzruszyła go bardzo.

—Jak się mianujesz ty, coś mię do łez rozrzewnił, rzekł, i co za szczęśliwa kraina cię wydała?

—Niestety! odpowiedział kalawant, ja się nazywam R a s r a n g. Urodziłem się w królestwie Audu i Gorackhu, gdzie byłem kalawantem szlachetnego książęcia K â m-r û p'a.

Po skończeniu muzyki i tańców, król się oddalił. Kunwar przybliżył się do kalawanta. Złożył na krzyż swoje ręce, i rzekł:

—Przypatrz mi się dobrze R a s r a n g'u, i poznaj twojego pana i twojego kunwara K â m-r û p'a.

XV.

Kalawant opowiedział swoję historją K â m-r û p'o w i.

—Pływałem po falach; morze było spokojne: ujrzałem żagiel, który się nadymał, ponad powierzchnią wody. Statek przybliżał się śpiesznie ku mnie; dostałem się na jego pokład; wszystko na nim było wyzłacane, a ośmiudziesiąt wioślarzy tam się znajdowało.

Wziąłem lutnią, poruszyłem jéj stróny i moich wybawców pochwały opiewałem. Powiéw wiatru łączył się z moim głosem dmąc przez liny. Wiosła w takt uderzały o fale, a majtkowie kupili się około mnie na pokładzie, z wyrazem podziwienia na twarzach.

Znagła zawierucha maszt wielki strzaskała, i zaczęła miotać statkiem; majtkowie wraz z kapitanem pobledli:

— To ten kalawant, rzekli, złowrogą swoję gwiazdę na nas sprowadza. Wrzucili mię zatém do morza, potrąceniem wiosła. Trafiłem na bałwan podnoszący się, i z nim razem wzbiłem się do góry. Wpadłem, za zniżeniem się jego, pokaleczony, na skał urwiska. Noc przyćmiła czoło firmamentu,

a nawałność czarną zasłoną gwiazdy powlekła. Rozciągnąłem się na piasku i zasnąłem, przy miganiu przeraźliwém błyskawic i gromie oddalonym piorunów na przestrzeni morskiéj.

Kiedym otworzył oczy, niebo było czyste, a morze bez ruchu, podobne do zwierciadła, odbijało światłość niebieską. Słońce wstawało ode wschodu, a rybacy nurzali się do wody oświeconéj przez piérwsze promienie.

Przybliżyłem się do rybaków.

—Nawałność, rzekłem, wyrzuciła mię na wasze wybrzeże; miejcie litość nad nieszczęśliwym rozbitem.

—Ty nie wiész, rzekł mi jeden starzec, że się na wyspie *Ekh* znajdujesz. Jest to wyspa, do któréj nikt nie może przypłynąć, i od któréj nikt nie odpływa. Na wyspie Ekh nie masz ani listka ode drzewa, ani też ptaka; ani owada, ani źdźbła trawy; woda, która obmywa te brzegi, zawiéra tylko w sobie same perły i korale. Znajduje się nas trzystu na wyspie Ekh

mieszkających. Jest jeden tylko dzień w roku, kiedy wiatr przypędza do nas okręt. Dajemy mu nasze korale i nasze perły, a odbiéramy za to w zamian żywność na rok cały. Widzisz zatém, że my nie możem wyratować ciebie od głodu, bez wystawienia się sami na zgubę. Gniew to niechybnie Siwy na wyspę Ekh ciebie przez nawałność wyrzucił.

Ludzie ci ciągle się zanurzali do morza. Ja umiérałem od głodu. Chciałem więc otrzymać to od ich wdzięczności, czegom od miłosierdzia nie zdołał. Wstąpiłem na wierzchołek opoki, ponad ich głowy: zacząłem wybijać takt dłoniami wdzięcznie przyśpiewując. Mniemałem, że ci wyśpiarze czcić mię będą, jak Boga; oni zaś najgrawali się i wyśmiéwali mię, jak człowieka obłąkanego rozumu. Zstąpiłem ku nim gniewny, wołając, że oni niedźwiedziami i nieukami byli. Za co wpadli na mnie, bili po policzkach, na wybrzeżu skrwawionego i nawpół martwego zostawując.

Nazajutrz wziąłem konchę w ręce i cho-

dziłem od domu do domu. Zbiérałem okruszyny, na ich obrusach znalezione: czyniłem to codziennie. Nakoniec statek przypłynął.

Kapitan zgadzał się wziąć mię na swój okręt, ale pod jednym tylko warunkiem.

— Cóżkolwiek, rzekł, będziemy czynili w naszéj żegludze, ty się nas o to zapytywać nie będziesz, dla czego tak czynimy.

Okręt podniósł kotwicę. Radowałem się, widząc oddalającą się tę wyspę, trawy i ptaków pozbawioną. Nie żywiłem się, już więcéj, jedynie ziarnkami ryżu, pozostałémi na obrusie, nakształt papugi. Pijałem wino perskie; jadłem pieprz chiński, daktyle, konfitury, ryby oceanu; kurzyłem *hukę*, żułem *betel*; śmiałem się, jak genjusze, w ogrodzie Swergi.

Kiedyśmy byli na pełném morzu, okręt się zatrzymał. Niebo tylko widać było i wodę, wodę równie jak niebo błękitną. Żeglarze porozkładali na moście perły i korale. Korale rumiane były, jak palce młodéj dziewicy. Perły jedne podobną gwia-

zdóm białość wydawały; inne mieniły się zielonością równą barwie much południowych; inne były złotawe, nakształt słonecznego warkocza; inne zaś, jak oczy bogini Maïa, błękitne. Był to ładunek, za który snadno byłoby kupić królestwo.

Osada okrętowa zaczęła brać perły i korale, i wrzucać je do morza.

Stanąłem w osłupieniu. Zapytanie skonało na ustach moich. Okręt rozwinął żagle i dalėj swą żeglugę odprawował.

Ciekawość mię pożerała. Zgubne słowo, «dla czego?» było zawsze na końcu mojego języka. Kiedym poczuwał, że już, już miało mi wylecieć, śpiéwałem albo tańcowałem na pokładzie. Uciekałem się czasami do daktylów i do konfitur. Nakoniec niezdolny byłem wytrzymać; wymknęło mi się.

Wołanie straszliwe rozległo się po statku. Krzepka prawica wzniosła mię ponad wody, a następne słowa zabrzmiały w mych uszach:

—Kalawancie, kalawancie! dusza twoja

pragnie przeniknąć tajemnice stworzenia. Umiejętność jest wonią, którą człowiek, w godzinę śmierci, oddycha. Ta godzina wybija dla ciebie. Jesteśmy strażnikami wysp morskich. Pomiędzy niémi są takie, na których się ani rozwijają kwiaty, ani owoce nie rodzą. Brahma nie opuszcza ludzi mieszkających na nich. Każe im, perły i korale poławiać, a natomiast, w zamian, wina im i ryżu dostarcza. Wtenczas to ocean przymuszony jest wydadź na światło bogactwa swoje tajemne. Człowiek podlega najwyższemu prawu; praca tworzy cuda; ale czémże są, przed oczyma Brahmy, najdziwniejsze dzieła człowieka? Stawimy krok jeden i pogrążamy je w przepaść, z któréj wyszły.

Na te słowa, zrzucono mię z okrętu do morza. Kiedym się wynurzył na jego powierzchnią, mgła świetna otaczała liny tego statku, a skrzydła wielkie lazurowe zasłaniały oblicza jego żeglarzy.

Dzień cały i noc płynąłem. Jutrzeńka odkryła mi śmiéjącą się krainę, która pło-

kała w morzu swoje zieleniejące stopy, a ku niebu, głowę swoję uwieńczoną drzewami wznosiła. Wyskoczyłem na brzeg; położyłem się na murawie, potém zaś wszedłem w gęstwinę lasu. Szedłem w nim aż do wieczora, i ani domu, ani człowieka żadnego nie napotkałem. Ciemności spadały z nieba, wstąpiłem na drzewo, dla przepędzenia na niém nocy. Układłem się w jego gałęziach: wtém usłyszałem tętnienie kopyt końskich, a mąż, odziany wspaniale, przybliżał się do mego drzewa, z łukiem w ręku. Zstąpił z rumaka, a jam zadrżał z przestrachu, kiedym go spostrzegł wstępującego na drzewo, na którémem spoczywał. Przypatrywał mu się pilnie wzrokiem orlim. Spostrzegł mię i wydobył strzałę z kołczanu.

— Przemożny rajah'u, zawołałem, nie zabijaj mię! jestem kalawantem.

I żebym tego mu dowiódł zacząłem śpiéwać. Cofnął swą strzałę. Pókim śpiéwał, zostawał on w spokojności; lecz skorom się tylko na chwilę zatrzymał, łuk swój

naciągać zaczynał. Nakoniec brzask dzienny przeniknął gęstwinę liści. Zastęp ludzi uzbrojonych przybliżył się do drzewa i pozdrowił mojego współtowarzysza, strasznego dostojnością Mahâraża. Był to Mahâraż Kar-Pit. Zbłąkał się on za tropem jelenim. Noc go zaskoczyła, i przypadkiem schronił on się na toż samo, co i ja, drzewo. Wsiadł zatém na swojego białego rumaka, skinął na mnie, ażebym za nim się udał, i na służbę swoję za kalawant'a mię przyjął.

XVI.

Kunwar i przyjaciele jego daléj odbywali swą wędrówkę w odzieniu fakir'ów. Dnia dziewiątego ujrzeli długie pagody i okrągłe kopuły, które się w morzu odbijały: było to miasto *Sârandip*. Kâm-rûp ukląkł na piasku i ręce swoje ku niebiosóm podniósł. Kiedy się przybliżył do bramy, ujrzał brahmana, z piękną białą brodą, przechadzającego się na słońcu. Starzec

ten przypatrzył się kunwarowi i rzekł do niego:

—Zali nie jesteś Kâm-rûp'em, synem Mâhâraż'a Pit'a?

Kunwar nie chciał brahmana oszukiwać.

—Tak, rzecze, jestem Kâm-rûp'em, synem króla Gorackh'u.

—A ja, odpowiedział starzec, jestem Sumit, przewodnik duchowny księżniczki Kali.

—Jako! zawołał Kâm-rûp, ty więc to odwiedzałeś miasto Audhpûr?

Tu mu opowiedział swoje boleści, swoje pociechy, swoje nadzieje; i prosił go o rady.

— Idź ze mną, rzekł brahman, do kościoła Hardwar'a; obaczysz tam dwóch twoich przyjaciół, przepędzisz tam noc, a nazajutrz ja księżniczkę Kalę o tobie uwiadomię.

Nasi derwisze wędrowni poszli za brahmanem z białą brodą; ten ich zaprowadził na wzgórek, na którym pagoda wznosiła ku niebu szczyt swój ozdobiony arabeskami i zakończony złotą kulą.

Kunwar znalazł w pagodzie swojego lekarza Kanwalrûp'a i swojego malarza Chitarman'a. Morze ich wyrzuciło na brzegi Sarandip'u; zostali oni, jeden lekarzem, drugi malarzem Maharaża; ale zawsze pamiętali o swoim kunwarze.

—Książę, rzekł Chitarman, mówiłem często o tobie księżniczce Kali. Ty zawsze jesteś pomiędzy nami na statku, w chwili, kiedy powiéw wiatru oddala nas z Hugli. Księżniczka pogląda nań zawsze, i patrząc nań rzewnie płacze.

—Książę, rzecze Kanwalrûp, rozmawiałem często o tobie z księżniczką Kalą. Cierpi ona i usycha, nakształt kwiecia, przez promienie Suriah'a upalonego. Imie twoje, jak słodka jest rosa na troski jéj serca.

—Książę, powiedział brahman Sumit, król Kam-raż żąda, ażeby córka jego małżonka dla siebie wybrała. Zgromadził on kunwarów ze wszystkich sąsiednich krajów na zaręczyny. Jutro księżniczka powinna rzucić naszyjnik temu, którego najbardziéj pokocha. Jęczy ona i wzdycha, lecz musi

bydź posłuszną. Co to będzie jéj za radość, jeśli się dowié, że książę Kâm-rûp jest w Sarandip'ie! Ale ja nie mogę przeniknąć do jéj seraju, a jutro tylko powinna ona tu się udadź, okryta jedwabną zasłoną.

— Ja mogę przywiązać sobie do nogi moję wstążkę różową, rzekł Aszaraż, i przemienić się w papugę; wzlecę na palce księżniczki Kali, i będę jéj prawił o książęciu Kâm-rûp'ie.

XVII.

Bóg miłości jest synem nieba i uroku.

Jego małżonką jest Reti, czułość, a jego przyjaciółką jest Wassach, wiosna.

Bóg miłości jest wielkim, jak róża Iremu. W kołczanie jego są kwiaty amrasu i negacesaru. Łuk jego wyrobiony jest ze trzciny cukrowej, a stróna z włókien różków motylich uwita. Nosi on malutką rybkę w różanym koszyku, i zawsze się, przez

smugi powietrzne, unosi na skrzydłach papużych.

Dnia pewnego płomień Hary obrócił go w popiół; lecz bogowie zrosili go dészczem nektarowym, który go do życia przywrócił.

Kala marzyła, na swoim balkonie, o bożku miłości, a podobno i o jego skrzydlatym rumaku, kiedy ujrzała piękną błękitną papugę unoszącą się ponad swoją głową.

—Papugo!— ta zawołała; o Kamo!

Kala wyciągnęła swój palec różowy do ptaka błękitnego; papuga usiadła na nim, zgjęła wdzięcznie swą szyję, gwiznęła i dotknęła swéj nóżki czarnym swym językiem. Księżniczka wewnątrz pałacu ją zaniosła.

XVIII.

—Piękny ptaszku, mówiła młoda księżniczka, dla czego ty nie możesz nic mi powiedzieć o książęciu Kàm-rùp'ie?

Natychmiast papuga zniknęła, a Kala ujrzała przed sobą młodzieńca ubranego po pielgrzymsku.

—Kto ty jesteś? rzekła, i jakim sposobem to się stało?

Młodzieniec odpowiedział:

—Jestem wróżbit Aszâraż, z kasty brahmanów, jeden z sześciu towarzyszy kunwara Kâm-rûp'a. Jeżeli chcesz zwrócić oczy na obraz malarza Chitarman'a, poznasz mię bez trudności, i nie będziesz się lękała bynajmniéj twojego serca tajemnicy mi powierzyć.

Księżniczka spojrzała na malowidło Chitarman'a. Tak, rzekła potém, to ty sam jesteś. Ale, przez litość! powiedz mi, gdzie jest kunwar? Znajduje sięż on w Sarândip? Prowadź mię do niego, chcę go koniecznie oglądać.

Astrolog Aszâraż uśmierzył jéj niespokojność. Opowiedział jéj nieszczęśliwe przygody Kâm-rûp'a i jego wierność.

—Oto masz, rzekła księżniczka, moję przepaskę, zaniesiesz ją książęciu Kâm-

rûp'owi. Powiész mu, ażeby ją dnia jutrzejszego miał na swojéj głowie; niechaj cię posadzi na swym palcu i wmięsza się pomiędzy *swayambar'ów* (zalotników). A ja rzucę jemu naszyjnik.

Aszâraż przywiązał wstążkę do swojéj nogi; skrzydła się jego rozpostarły, i uleciał przez okno, z przepaską w dzióbie.

XIX.

Suryah ukazał się na niebie. Arun, mały jego kulawy woźnica, kierował siedmią jego zielonémi rumakami. Promienie różowe odbijały się w morzu wschodniém, pozłacając szczyty i kopuły grodu Sarândip'u. Kunwarowie stanęli w porządku na placu pałacowym. Rzekłbyś, że to były gwiazdy niebiós, albo genjusze dworu Indry. Jeden miał kitę z pereł i dyamentów, drugi turban ze złotogłowiu i z materyj litych. Tamten zawiesił na ramionach szatę z aksamitu błękitnego, usianego srébrzystémi perłami; inny opiérał dłoń swoję na rę-

kojeści bułatu, topazami, opalami, szmaragdami i szafirami sadzonego.

Kâm-rûp namaścił swoje ciało krowiéńcem z węglami pomięszanym. Najeżył włosy na swojéj głowie, jak to czynią pielgrzymi. Te włosy związał przepaską księżniczki, i posadził na swym palcu wieszczka Aszâraża, w postaci papugi, ze wstęgą zawiązaną na nodze. Kunwâr-rûp, Mitarszand, Mannikh, Rasrang i Chitarman, ustrojeni jak pielgrzymi, i ze swoim i z innymi kunwarami na placu pałacowym stanęli.

Ale nic nie było podobnie pięknego, jak księżniczka Kala. Wymyła się ona w gangesowéj wodzie. Jéj niewiasty ambrą i olejkiem różanym namaściły jéj ciało. Ręce ich wytarły skórę jéj delikatną i wonną, nadając jéj połysk źwierciadlany. Proszek cyndałowy barwił farbą żółtości złocistéj lilije jéj ramion i alabastry jéj łona. Jéj drobniuchne stopki królewskie i szczupłe rąk jéj paluszki, były powleczone barwą różaną: jéj zęby i powieki czerniły się od missi,

żuła betel, dla przeobrażenia w fiolet warg swoich rumieńca.

Prąga biała, na śrzodku jéj czoła, rozdzielała pierścienie czarne jéj włosów, podobne do kwiatów nûzbo. W jéj włosach jaśniały perły i kwiaty jaźminu; na jéj głowie świecił się półmiesiąc srébrzysty, półmiesiąc pomiędzy perłami, jak półokrąg księżyca wśrzód plejad na niebie. Łańcuch złocisty przywiązywał ozdoby do jéj uszu; klejnoty rozpromieniały się na jéj piersiach, a jéj ramie dziewięć drogich kamieni naurutanu ściskało.

Kiedy się księżniczka Kala na placu pałacowym ukazała, piękność jéj sprawiła wielkie spustoszenie w szeregach kunwarów. Groty jéj oczu powaliły ich od razu pięciudziesiąt; reszta uwięzła we wnikach pierścieni jéj włosów, i została bez ruchu i głosu, jak gdyby posągów gromada.

Księżniczka przejechała przed nimi szybko na swoim rumaku arabskim, zwróciła się prosto ku błękitnéj papudze, i swój naszyjnik na Kâm-rûp'ie zawiesiła.

XX.

— Śmierć czarnoksiężnikóm i wróżbitóm! Oni urzekli księżniczkę Kalę. Fi! nikczemni pielgrzymi, ze swoim krowim kałem! I oniż to mają posiadać naszyjnik? Potrzeba zaryć ich w ziemi aż po oczy, i dadź mrówkóm na roztoczenie. Ptaki składać będą swoje gniazda we włosach na ich głowach.

Kunwarowie targali naszyjnik na karku Kâm-rûp'a. Policzkowali go, poszarpali na nim suknią i powlekli go wraz z jego towarzyszami, przed Maharaża.

Kiedy Maharażowi doniesiono co się stało, posiniało mu oblicze, jak lotosowy kwiat przed księżycem. Zajadł się niezmiernym przeciwko swojéj córce gniewem, poprzysiągł, iż ona nigdy nie dostanie małżonka, zaprosił kunwarów, ażeby się każdy z nich do siebie oddalił, i rzekł do swoich urzędników:

— Niechaj mi włóczą tych fakirów po całém mieście, a potém niechaj mi ich na pale powbijają.

Wodzono książęcia Kâm-rûp'a z jego papugą błękitną i z jego towarzyszami oszarpanymi po ulicach całego miasta Sarândip'u. Związano im ręce; postawiano pale; a oprawca zapytywał ich, azali nie mieli jakich życzeń dla objawienia przed śmiercią.

Kâm-rûp pogłaskał swoję błękitną papugę, przycisnął przepaskę do swojego serca, i zawołał:

—Jeżeli masz cokolwiek litości nad umiérającym, prowadź mię przed pałac księżniczki Kali; pragnę, ażeby mię na pal wbito przed jéj obliczności ą; to mię roskoszy nabawi. Mansebdarsowie donieśli Mâharaż'owi o téj prośbie, i rzekli mu, że kaźń pala, może była za nazbyt surową, za przestępstwo tych pielgrzymów.

—Niech i tak będzie, rzekł Mâharaż, wrzucić ich tedy do suchéj studni Karanu i ogromnym kamieniem przywalić; czy oni tam cokolwiek pożyją, czy umrą natychmiast, dla mnie to wszystko równo, byleby tylko mojéj najukochańszéj córki Kali więcéj nie mogli urzekać.

XXI.

—Moja kochana papugo, rzecze książę Kâm-rûp, jest tu bardzo ciemno. Jeśliby ci ztąd udało się wylecieć, rzucisz nam twoję wstążkę różową, a każdy z nas z kolei wyleci.

— Panie, odpowiedział ptak błękitny, jużem się wznosił ponad waszémi głowami, i postrzegłem, że ogromny kamień, przywalający studnią, nie zostawuje wyjścia nawet dla papugi.

W téj chwili zabłysły w studni iskry. Mitarszand to wydobywał je z krzesiwa.

Potém zapach spalonego włosa doleciał powonienia kunwara.

— Mój kochany przyjacielu Rackas'ie, rzekł Mitarszand, poczujeszże ty z tak daleka zapach twojego spalonego włosa?

Wtém silne potrącenie nogą wywaliło skałę i cisnęło ją o milę od studni, a Szwergugra zstąpił pomiędzy naszych pielgrzymów.

—Rajahu, zawołał, otom jest! czego chcesz ode mnie?

—Mój zacny Szwergugro, rzekł Mitarszand, przedstawiam ci mojego kunwara i moich towarzyszów. Ty ich nie pozrzesz, ani téj papugi z nimi, ale przeniesiesz nas o mil ztąd pięćdziesiąt.

—Ruszajmy, rzekł Rackas.

Kunwar uczepił się długich włosów Szwergugry, Rasrang i Mitarszand zawiśli u jego ramion; Kanwalrûp i Mannikh ujęli się nóg jego; i takim sposobem wynieśli się ze studni Karanu. Papuga przysiadła była na głowie Rackas'a.

XXII.

W miesiąc potém Mâhâraż przechadzał się po tarasie, przed swoim pałacem. Poglądał on na morze przejrzyste, które płócze marmurowe mury miasta Sarandip'u, i na morze piasczyste, kończące się przed jego bramami od strony wschodniéj. Po-

strzegł w oddaleniu chmurę kurzawy. Głuche i przytłumione grzmienie, jak łoskot dalekiego piorunu, obiło się o jego uszy, i zdawało mu się, że widział oręże błyszczące przed słońcem. Przetarł sobie oczy, wezwał swojego ministra; mgła kurzawy ciągle się przybliżała, a wkrótce odezwały się brzmiące trąby; uderzono w kotły, ujrzano chwiejące się powiewne w powietrzu kity; a wojsko nieprzeliczone, ochocze, żwawe i najświetniejsze razem, jakie tylko kiedykolwiek Indya oglądała, urządziło się do bojowego szyku naokoło Sarândip'u.

Były tam rumaki arabskie, które przelatywały w zawody na czele zastępów; mansebdarowie, którzy wywijali swojémi złocistémi bułatami; słonie barwione i okryte jedwabiem, które niosły pomiędzy swojémi uszami rajahów, we włócznie uzbrojonych: był to widok, który razem zdejmował podziwieniem, zdumiałością i trwogą Mâhâraża Kâmraża.

Nakoniec ujrzał on posła, odzianego złotogłowiem i jaśniejącego dyamentami,

który padł na kolana przed jego tronem i rzekł do niego:

—«Kâm-rûp, syn Raż-Pit'a i Sandar-rup'y, kunwar *Aud'u* i *Gorackh'u*, Mâhâraż-Kam-rażowi cesarzowi *Sarândip'u*.

«Napisano było, iż będę kochał córę twoję Kalę. Przebywałem ocean i na nim doznałem rozbicia; byłem przeniesiony w obłokach z dwunastą wróżkami, potém wtrącony do studni z błękitną papugą. A teraz? posłuchaj: Jeżeli ty się zgadzasz na oddanie mi w małżeństwo twojéj córki księżniczki Kali, pragnę żyć z tobą i z twoimi w dobréj przyjaźni; lecz jeżeli mi jéj odmówisz, pałac twój stopami słoniów moich podepczę; i porwę ci twoję córkę pod zasłoną twojego bułatu.»

Tak własne swe poselstwo sprawował książę Kâm-rûp. Jeżeliby się ktoś chciał dziwić, że on tak prędko przeobraził się z fakira w zdobywcę, z równie licznėm wojskiem, jak były zastępy Paru, niechaj przypomni sobie, że on miał w swym pasie

talizmany, dane sobie przez derwisza, które wszystkie metale w złoto przeistaczały.

XXIII.

—G a n d h a r b'i e, rzekł M â h â r a ż, przyzwij do mnie astrologa M a ż k u n a!

Astrolog przybył.

—Horoskop mojéj córki! rzekł K â m-r a ź.

Astrolog ukłonił się i wyszedł.

M â h â r a ż kazał dadź betelu posłowi i kurzył poważnie hukkę.

Astrolog powraca. Trzymał on w ręku *navakiraha sak karam.*

—M â h â r a ż'u, ozwał się, oto horoskop księżniczki K a l i. Kunwar z obcéj ziemi powinien zostać jéj małżonkiem.

—Zgoda więc! niechaj przysposobią gody weselne mojéj córki z kunwarem K â m-r û p'e m.

XXIV.

Astrologowie nie przestawali wpatrywać się w niebo. Wielkie i ważne zdarzenie

miało się zjścić. Gwiazda książęcia Kâm-rûp'a blizką była swojego połączenia się z gwiazdą księżniczki Kali. Chodziło o wybranie przyjaźnéj godziny, rachowano, czyniono przypuszczenia, roztrząsano i upatrywano dnia stosownego.

Dnia tego odbywała się uroczystość pod namiotami kunwara. Mâhâraż sam wyprawił swoich do niego omhras'ów i swoich mansebdar'sów.

Kâm-rûp miał koronę z pereł na swojém czole. Bułat jego lśnił się od dyamentów, a jego szata ze złocistéj materyi, rubinami i szafirami sadzona, błyszczała się jak niwa ryżu umalowana letniemi kwiatami. Była to roskosz oglądać rajahów, w salach wodą różaną i ambrą chińską wonnych. Łączono się w gromady świetne; rozmawiano o pięknéj parze i o szczęściu, jakiego będzie kosztowała. Było tam w obfitości betelu, hukki, gulalu. Co to za roskosz, rzucać sobie gulal na oblicze! Tuman proszku różowego rozlatywał się po powietrzu, i mieszał się z dymem, który kurzona hukka wy-

dawała. Rzekłbyś, że to było święto Holi. Rajahowie przechadzali się z uśmiéchem wpośrzód téj wonnéj kurzawy; bayadery ustrojone w jedwabie tańczyły przy wdzięcznym muzyki odgłosie, a kunwar usiadłszy z założonémi na krzyż nogami na złotogłowowéj poduszce, oddychał wonnością, kurząc srébrną hukkę.

Noc nadeszła, i zasłony się namiotu odchyliły, wtenczas ujrzano w odległości oświecenia miasta Sarândip'u, podobnego do słońca. Kunwar dosiadł białego rumaka. Omhra'sowie i mansebdar'sy uszykowali się do jego orszaku z pochodniami. Bayadery i kalawantowie poprzedzali ten świetny i wesoły orszak. Rozmaite narzędzia muzyczne odzywały się wśrzód téj jaśniejącéj gromady; śpiéwano pochwały Kâm-rûp'a; tańczono na uczczenie księżniczki Kali; takim się sposobem kunwar udał do pałacu swojéj pięknéj narzeczonéj.

Kala spuściła swe oczy i przytuliła swą głowę do łona swojéj ulubionéj Loty, kiedy książę obwiązywał naokoło jéj alabastrowego ramienia, drżącémi rękami, kie-

sńę jedwabną, w któréj się zawiérały trzy perły, ziarnka ryżu, kwiaty i sztuka złota.

XXV.

Ta historja nas naucza, że miłość wierna, prędzéj czy poźniéj, znajduje swoję nagrodę. Brahma zachęca ją i ośmiela z wysokości niebios; albowiem, w dziełach stworzenia, nic on piękniejszego nad miłość nie postrzega.

Kiedy się ten glob, pomiędzy światami, raz piérwszy obracać zaczął, Brahma wyrzekł słowo swoje do obłoków, do oceanów, do pustyni i do człowieka.

Rzekł on do obłoków:

—Będziecie miotały pioruny wpośrzód nawałności i błyskawic.

Rzekł do oceanu:

—Będziesz pochłaniał wszystko, w twojéj nieźmiernéj wody odmętach.

Do pustyni:

—Pożrzesz i zagrzebiesz wszystko w twoich piasków łonie.

A do człowieka:

—Ty zwalczysz pustynię, oceany, chmury, z miłością w twém sercu.

Cóż znaczy dla Ranżbi przesmyk przedzielający ją od Hira?

Ten, którego bóg Rama swojémi kwiecistémi strzałami przeszyje, nie jest już człowiekiem, ale jest bogiem; albowiem już on w myślach swoich, ponad cierpienia i samę śmierć, wzlatuje.

(*Samuel* Bach. *La France littéraire.*)

MACPHERSON-OSSIJAN.

Znajomy jest powszechnie duch badawczy ośmnastego wieku, który odtrącając i odrzucając na stronę wszystko, cokolwiekby mogło bydź w poznawaniu istoty rzeczy, skutkiem imaginacyi, uprzedzeń, namiętności i t. p.; szukał we wszystkich przedmiotach gruntu, rzetelności, i że tak rzekę, zmysłowéj i dotykalnéj prawdy. Duch taki nową postać naukóm i sztukóm nadadź koniecznie musiał. Nowość ta, zupełnie filozoficzna, odarła historją z uroku imaginacyi, samę rzeczywistość nawet uzupełniającéj, a bez któréj nie masz malowniczéj prawdy.

Szkocya, Anglija, Francya, słowem cała Europa, téj pracy rozumu wyższego, ścisłego i spokojnego, przyklaskiwała. I cóż ztąd?— imaginacya jest potrzebą tak wrodzoną człowiekowi; ma ona tyle potęgi i przewagi, nawet w stanie społeczności najwykwintniejszym i najuczeńszym, że z pośrzodka samego sceptyzmu, gotowi jesteśmy zawsze podnieść wzrok na najmniejszy promyk światła, jakim ona przed nami zabłyśnie. Jedną razą dowiedziano się, że w górach szkockich przechowywały się pienia starego barda, który miał żyć w drugim, czy też w czwartym naszéj ery wieku. Pienia te zdawały się nieokrzesanémi i dzikiémi; zdaje się w nich oddychać uczucie przyrodzone i piérwotne: fanatyzm wojowniczy, zamiłowanie bojów, pewny gatunek heroizmu chropowatego i prosto-dusznego; same się tylko proste obrazy w nich malują: ocean, zarośle, sosny wyniosłe gór córy, wydmuchy i poświst morskiego powiewu. Rzeczy te, tak proste, tak jednotonne, stały się nowością, rozmaitością

smakowitą i oryginalną, dla wieku sytego rozumowań i filozofii: i tu się właśnie zaczyna wielkie powodzenie poezyj Ossijana. Wiadomo jaki był ich wpływ we Francyi.

Jak wpływ francuzki natchnął literaturę angielsko-szkocką, tak genjusz tego Ossijana, ktokolwiek nim był, na formy poetyckie, literatury francuzkiéj, przy końcu dziewiętnastego wieku, potężnie działał. Ossijan znowu z innéj miary, jeżeli był kiedykolwiek jaki Ossijan, przypomina, myśli naszéj, imiona jego sławnych wielbicieli i jego surowych sędziów. Entuzyazm, jaki on wzbudził, był wypadkiem ciekawym w historyi literatury. Należy on, co do epoki swojego zmysłowego odrodzenia się, czy też swojego rzeczywistego źrzódła, do literatury ośmnastego wieku: Wolter o nim mówił. Należy on, pod innémi względami, do téj literatury naszego wieku, zasięgającéj, od zaburzeń politycznych, które ją poprzedziły, czegoś melancholicznego, wyrachowanego i rozważnego.

Zdobywca Włoch, Egyptu i Francyi, wielkim był dziwicielem Ossijan'a; i w epoce piérwszego wyniesienia się, jego pochlebcy, (albowiém już wtedy miał on pochlebców), uwielbiali go bardzo za ten entuzyazm względem Ossijan'a, a nawet nie schodziło im na upatrzeniu, czy też na znalezieniu stosunku i tajemnego powinowactwa, pomiędzy heroizmem prostym i chropowatym wojowników kaledońskich, a próżną przysady szczérością heroizmu, który współczesnemu bohatyrowi przypisywali.

Powiedzmy bez ogródki: największa część poezyi wraz z prozą poetycką naszych czasów, przyjęła do pewnego stopnia barwę i znamie tego genjuszu obłędnego, melancholicznego, zadumanego, czułego, który w dziełach, pod imieniem Ossijan'a ogłoszonych, panuje.

Jeszcze się nie zapomniało téj wziętości, że tak rzekę, popularnéj, która się przed kilką lat dopiéro do przypomnień poematów Ossijana przywiązywała. Była epoka, w któréj rozdawanie, w zakładach nau-

kowych francuzkich, nagród, rozlegało się bez przestanku imionami Oskar'a, Malwiny, Temory; témi imionami harmonijnémi, którémi imaginacya rodziców, prostsze kalendarzowe miana zastępowała.

Dzieło, które taką zyskało przewagę nad umysłami, przez entuzyazm, zarazem poważny i dziecinny, zasługuje na to, ażeby się go z pilnością uczono.

Przypomnijmy naprzód okoliczności, mniemanego zmartwychwstania dzieł tych barda szkockiego, z drugiego wieku, przez tak długi czas nieogłoszonych, które, chociaż proste i nieokrzesane, oddychają wszakże pewnym rodzajem wspaniałomyślności górnéj, wzniesienia i czystości szczególniejszéj uczuć.

W roku 1758, młodzieniec urodzony w górach szkockich, Macpherson, który zdawał się wcześnie wiele okazywać dowcipu, a dowcipu zarazem pochopnego do entuzyazmu i zręcznego, był nauczycielem w domu hrabiego Graham'a, z rodu tego Clawerhusa (*Claverhouse*), którego Wal-

ter-Scott skréślił wizerunek dla historyi; poznał on tam P. Home, literata szkockiego, autora tragedyi pod tytułem *Douglas*. Rozmawiając z nim Macpherson, który doświadczał już był zdolności swoich w poczyi, i ogłosił był, bez powodzenia poemat, pod tytułem *Góral*, mówił o pieśniach ludu, słyszanych przez się na górze, na któréj się urodził. Przełożył z nich miejsc kilka; a wkrótce, podniecony podziwieniem, jakie ta poczya nieokrzesana i prosta, na wykształconym umyśle Hom'a sprawowała, pomnożył te swoje próbki. Piérwszy się ich tom ukazał, pod tytułem: *Ułamki poezyi dawnéj, zebrane w górach szkockich, i z języka erskiego albo gaëlic'kiego przełożone.*

Książka ta, całą publiczność literacką w Edymburgu zachwyciła. Sławny poeta angielski, który szukał oryginalności, bardziéj przez rachubę smaku, aniżeli miał jéj przez instynkt, Gray, przed wszystkimi, najżywszy entuzyazm ku téj poczyi okazał. Mniemamy nawet, że to piérwsze te pienia, natchnęły Gray'owi jednę z najpiękniej-

szych jego odę, tę, w któréj opłakuje wymordowanie bardów w kraju Gallii, dopełnione z woli Edwarda I, w celu zabezpieczenia sobie zdobyczy, niepewnéj zawsze i zagrożonéj, pókiby znajdowali się ludzie, zdolni dawną chwałę i swobody swojego kraju opiéwać. Przedsięwzięcie Macpherson'a, które miało znaleźć poźniéj tyle żywego sprzeciwieństwa, z gorliwością nadzwyczajną i namiętnym prawie, ducha stronnictwa, zapałem, zostało przyjęte.

Myśl ta, że kiedyś żył w górach wieszcz znamienity, którego pienia, przez piętnaście wieków nie wydane, ukazywały się na świat, myśl ta mówię, głaskała próżność całéj górnéj Szkocyi. Przetoż, skoro tylko Macpherson ogłosił swoje *Ułamki*, natychmiast liczne subskrybcye zostały otwarte; obowiązywano go, ażeby się udał w góry, dla zebrania tam jeszcze niektórych szczątków téj poezyi, która tak wysoko sławę poetycką Szkocyi postawić miała. Macpherson się wyprawił; zasięgał rady sędziwych księży purytańskich w górach;

włóczył się tam wszędzie, słyszał śpiewanie ballad niektórych, zebrał, jak powiadają, niektóre urywki rękopismów; z tém powróciwszy, tłumaczył, dodawał, przemieniał, wynajdował przez się, i w końcu lat kilku, wydał poemat *Fingala*, potém zaś *Temorę*. Aż dotąd rzeczy szły niezgorzéj; uwielbiając pienia poetyckie, nie miano zgryźliwego uczucia, dziwienia się komuś współczesnemu albo znajomemu, z którym się spotyka lub obcuje.

Ale ta zawiść narodowa, tak łatwa do obudzenia, albo raczéj trwająca ciągle pomiędzy dwóma krajami sąsiedniémi i współ się ubiegającémi, podżegła wkrótce pomiędzy Anglikami niedowiarków, przeciwnych sławie Homera, w górach szkockich odkrytego. Doktor Johnson nade wszystko, największy owéj epoki krytyk, człowiek szczególniejszym sposobem cierpki, który, wśrzód siedmnastego wieku, przechował siła jadowitości szesnasto-wiekowych uczonych, sławnych Scoppius'ów i Scaliger'ów, napastował gwałtownie Macpherson'a,

udając go za oszusta i fałszywego szalbierza. Nic nie potrafi dadź rzetelniejszego wyobrażenia zapalczywości umysłów, w tym sporze literackim, jak odpowiedź doktora Johnson'a, dana Macpherson'owi, który się z wyniosłością, na ten, uwłaczający mu sceptyzm, krytyka angielskiego, użalał:

«Mości Jakóbie Macpherson'ie!

«Odebrałem wasze bezrozumne i bezczelne pismo. Najusilniéj będę się starał, ażebym odparł wszelką gwałtowność, któréjby się względem mnie dopuścić pokuszono; a czegobym nie potrafił dokazać sam przez siebie, prawo to za mnie uczyni. Spodziewam się, że nigdy mi nie przeszkodzą do odkrywania szalbierstwa, pogróżki jakiegoś chłystka.

«Jakiegoż odwołania żądasz ode mnie? Przeświadczony byłem, że Jego książka jest udaniem; i mam ją za szarlatańskie udanie zawsze. Na wsparcie tego mniemania, ogłosiłem publicznie dowody, do których zbicia wyzywam Waszmości. Pogardzam wściekłością WPana. Talenta Waszmościne, od czasu ogłoszenia Jego Homer'a, nie bardzo mi się groźnémi wydają. A com słyszał o Jeśpana charakterze, skłania mię do wie-

rzenia, nie temu co powiész, ale czego dowiedziesz. Możesz sobie list ten wydrukować, jeśli wola.»

Dla zrozumienia wyrażeń pewnych tego listu, nie powinniśmy zapomnieć, że Macpherson, zdjęty urokiem i zbogacony powodzeniem swojego Ossijan'a, pokusił się o tłumaczenie Homer'a. Ten sam koloryt romantyczny i dziki, który jaśniał w wiérszach dawnego barda szkockiego, Macpherson do pieni greckiego poety przeniósł. Niewiadomo, czyli publiczność nasyciła się już była obrazami dzielnémi oraz jednotonnémi pieni ossijanowych; niewiadomo, czyli sprzeczność pomiędzy tém, co pozostało greckiego, a tém, co Macpherson ze szkockiego domięszał, do przekładu swojego Homer'a, szkodliwy okazała wpływ na illuzyą czytelników; lecz ostatecznym tego wypadkiem okazało się to, iż robotę Macpherson'a powszechnie okrzyczano: i wtenczas, kiedy z podziwieniem uwielbiano kompilatora pieśni ossijanicznych, naśmiéwano się z tłumacza homerowego.

Doznawszy takim sposobem wielkiego powodzenia, pod cudzém naźwiskiem, a wielkich szwanków pod swojém własném mianem, Macpherson odmienił rolę. Wyjechał do Florydy, w urzędzie sekretarza gubernatorskiego. Na tém miejscu zyskał on więcéj jeszcze pieniędzy, aniżeli z tłumaczenia poematów Ossijan'a. Potém powrócił do Anglii, ułożył mnóztwo pamfletów, bardzo gładko napisanych, dla ministra, i bardziéj się jeszcze spanoszył. Nakoniec, przez połączenie zdolności do interesów, z wymową giętką do wszystkiego, Macpherson został agentem i adwokatem pewnego nababa indyjskiego. Wiadomo, jaka wówczas była potęga kompanii indyjskiéj, jaką była ta dyktatura polityczna i handlowa, którą kupcy angielscy, na lud, z pięciudziesiąt milionów mieszkańców złożony, wywiérali. Nieszczęśliwi drobni królikowie indyjscy, obładowani złotem, starali się znaleźć kogoś w Londynie, któryby się chciał podjąć bronienia ich sprawy, przed najezdniczą i straszliwą kompaniją, a

najmniejszą wyrządzoną sobie posługę, dyamentami i rubinami opłacali. W charakterze tedy obrońcy, bez żadnéj innéj pracy, oprócz stawania czasami przed kompaniją indyjską, Macpherson niezmierne bogactwa zgromadził, broniąc swojego nababa. Za co kupił sobie okazały zamek, odmienił naźwisko i przedzierzgnął się w gatunek wielkiego magnata. Każdy czuje, że posiadacz tak świetnéj fortuny, nie wiele dbać musiał o bronienie autentyczności swojego Ossijana. Pozwolił zatém jednym wierzyć, że to było jego samego dziełem, drugim, że nie; a używał tymczasem spokojnie swojéj pomyślności, swojego przepychu, całéj sławy, któréj nabył, jako utalentowany pisarz, jako człowiek przebiegły i obrótny, a nawet, jako człowiek bogaty; ali wziętościgactwo także prawo do sławy i wziętości nadaje.

Wpośrzód tak pomyślnego przeznaczenia swojego Macpherson umarł, zagadnienie zostawując nierozwiązane. Po nim spory nanowo ożyły. Samuel Johnson

rozbiérał rzecz tę z gniewem i zapałczywością raczéj, aniżeli z baczną i dostateczną rozwagą. Odbył wszelakoż podróż na wyspy Hebrydy i do Szkocyi-Górnéj; ale on przedsięwziął tę wyprawę, jak częstokroć się bardzo wiele rzeczy przedsiębierze, z postanowieniem mocném nieoświecenia się przez fakta, i wiedząc z góry przy jakiém na końcu swoich badań miał zostać przekonaniu. Skutkiem téj podróży była tylko książka dosyć przyjemna w czytaniu, w któréj doktor Johnson mimojazdem tylko zastanawia się nad poematem Ossijan'a; opowiada, iż mu pokazano kilku sędziwych bardów, którzy mu się wydali ogłupiałymi niedołęgami, i czytać nawet nie umieli. Wnosi więc, iż nie może się tam znajdować żaden rękopism, gdzie nic nie piszą, i że w kraju, w którym się nie przechowało pięciu wiérszy staroświeckiego pisma, nie mogły się przechować epopeje: a pozwoliwszy najwięcéj, bydźby to mogło, iż w kilku starych balladach, odezwały się imiona miejsc i osób, na które się Mac-

pherson rzucił i porwał. Wreszcie, jak zawsze w gniewnéj nienawiści, powtarza wyrażenia, kradzieży, matactwa, szarlataństwa i zbrodni nawet!

Inny jeszcze zarzut był uczyniony przeciwko autentyczności poematów Ossijan'a, przez pewnego uczonego Szkota, lecz Szkota *krain-dolnych*, co jest arcy ważną rzeczą: albowiem, jako Anglicy byli nieprzyjaciołami Szkotów w ogólności, tak Szkoci *krain-dolnych*, byli współzawodnikami szkockich górali. Ten Szkota dolny Malcolm-Laing, w dziejach uczonych swojego kraju, nie omieszkał wtrącić rozprawy przeciwko poematóm Ossijan'a, po niejakim zaś czasie ogłosił zbiór, pod następnym tytułem: *Poemata Ossijana, zawierające dzieła wiérszem i prozą, sir Jakóba Macpherson'a, z nótami tudzież z objaśnieniami.* Tam Malcolm-Laing, z bardzo pocieszną erudycyą, znajduje wszędzie natchnienia poety drugiego wieku. Biblija, poeci greccy, Wirgiliusz, poeci angielscy, wszystko, co żyje, wreszcie, miało mu

dostarczyć rysów poezyi, tudzież wyrażeń, które zdają mu się bydź zręcznie pochwycone przez Macphersona, dla ułożenia téj jego mozaiki celtyckiéj.

Ale chwała narodowa nie usnęła bynajmniéj. Szkotowie *krain-górnych* mieli akademiją.... Akademija ta mianowała kommissyą; kommissya ta zrobiła wyprawę w góry, dla wyszukania tam, jeżeli można, textu oryginalnego poezyj Ossijan'a.

U Szkotów i Anglików jest rzecz jedna arcy wyborna: gust, wezwyczajenie, a nawet drobiazgowość, w formach legalnych. Przetoż w tym gatunku sprawdzenia literackiego, starali się oni o zachowanie dokładności takiéj, jaka się w słownych wywodach sprawy zachowuje.

Kommissarze, z instrukcyami bardzo szczegółowémi, a prawie dyplomatycznémi, przenieśli się do siedzib góralskich; słuchali oni, po kolei, ministra purytańskiego, ślepego starca (gdyż ślepi od czasów Homera odziedziczyli zdolność składania wiérszy, a przynajmniéj ich śpiéwania), rzemieślnika,

wieśniaka, staréj baby, szlachcica, który już powrócił do swéj zagrody, a który, w swéj młodości, słyszeć musiał śpiéwanie ballad. Wszystkie te depozycye uczynione, po większéj części, w języku *gaëlic'kim*, zostały zebrane i prawnie przez miejscowego sędziego pokoju zatwierdzone. Kommissarze powrócili z wywodem słownym swojego poetyckiego śledztwa; a wtenczas towarzystwo ogłosiło pamiętnik uczony i zupełny, który wykształcone pióro P. Mackenzie redagowało.

Teraz naturalne wypada zapytanie, co było wypadkiem tego pamiętnika? — albowiem piérwéj, niż się zaczniemy dziwić z uwielbieniem Ossijan'owi, potrzeba nam się przecięż dowiedzieć, kto też był Ossijan? Niepowinniśmy przecięż, jak Laharpe, wykładać niedostateczności Ossijan'a, przez wady jego wieku, jeżeli przypadkiem wiekiem tym jego był wiek ośmnasty: nie powinniśmy się unosić nad chropowatością poetyczną obrazów jego, powiadając: zważcież obyczaje ludów nie-

okrzesanych! zważcież literaturę piérwotną jeżeli wypadnie nam przyjśdź do odkryci w Ossijan'ie kompozycyi sztucznéj. w któréj genjusz i przemysł nowoczesnego pisarza, umiał połączyć z sobą i poprawić materjały surowe dni dawnych.

Kommissya przeto zgromadziła, w jednym grubym tomie in 4to, wszystkie dokumenta procedury, to jest wiele urywków poetycznych, zebranych w górach, a które mniéj więcéj zmienione, wystąpiły w Macpherson'a dziele: jako to: opisanie wozu, bitwy, puklerza, kilka wiérszy, kilka wyrazów odrębnych: ale potrzeba to powiedzieć, że żaden z tych kawałków, nad piętnaście albo dwadzieścia wiérszy, więcéj w sobie nie zawiéra.

Kommissya, po pracy sumiennéj, bardzo metodycznéj, zmuszoną była, z żalem zapewne, zamknąć swój raport, przez pytania i odpowiedzi następne:

«1) Znajdowałali się zdawien w Szkocyi-Górnéj poezya pod nazwaniem ossijanicznéj, i jaka jéj była zaleta?

«2) Zbiór przez Macphersona ogłoszony, zali jest autentyczny?

«Co do piérwszego punktu, kommissya odpowiada bez trudności, że się ta poezya znajdowała, że była szeroce upowszechniona, że miała charakter tkliwy i górny.

«Co się zaś tycze punktu drugiego, towarzystwo wyznaje, że mu jest ciężko kategorycznie odpowiedzieć. Oświadcza wszakże, iż zebrała ułamki poematów, które zawiérają częstokroć substancyą, a niekiedy prawie samo wyrażenie miejsc zawartych w poematach, których Macpherson przekład ogłosił, ale żadnego poematu toż-samego co do tytułu i co do przedmiotu. Mniema ona, iż zwyczajem tego pisarza było, zapełniać przerwy, łączyć z sobą ułamki rozpierzchłe, wcielać miejsca nowe, przedłużać wyrażenia, złagadzać niektóre wypadki, wygładzać język, nakoniec przeistaczać, cokolwiek się jemu zbyt prostém, zbyt surowém i grubijańskiém zdawało, dla nowoczesnego ucha, podnosić zaś i uszlachetniać to, co mniemał bydź niższém od

ideału poezyi. Kommissya dodaje, iż niepodobieństwem jest dla niéj oznaczyć, aż do jakiego punktu Macpherson tego rodzaju wolności nadużył.»

Owoż mamy wyznanie, które wyszło z ust sędziów oświeconych, sumiennych, a wszelakoż ożywionych i powodowanych pewnym rodzajem stronnictwa parcyalnego; wyznanie to, zaiste, wielką w sobie moc dowodów przeciwko autentyczności poematów Ossijan'a zawiéra. Przetoż miłość własna szkocka, która, według Johnson'a, jest najwyższą z miłości własnych narodowych, jakie tylko postały na świecie, miłość, mówię, własna szkocka, była bardzo markotna z tego ostatecznego wniosku: jakoż, po pewnym przeciągu czasu potém, zapewniano, że rękopisma zostawione przez Macpherson'a, prawdziwy text poezyj Ossijan'a w sobie zawiérały; i że te wkońcu drukiem ogłoszone zostaną, i rzeczywiście je wydrukowano: a dla uczynienia tych dowodów autentyczniejszémi jeszcze, na czele portret Ossijan'a umie-

szczono. Wizerunek ten odpowiada wszystkim warunkóm, następcy Homera, koniecznym. Ossijan w nim wystawiony jest starcem sędziwym: oblicze jego poważne, okazałe, natchnione, długie białe włosy głowę jego okrywają, nakoniec zdaje się bydź ślepym. Po tém wszystkiém, jeśliby się ktoś zapytał, według jakiego popiersia, według jakiego medalu współwiecznego bardowi kaledońskiemu, wykonano portret jego? Nie wiémy coby na to wydawcy mogli odpowiedzieć. Wszelakoż, ponieważ wiele na tém załeżało, ażeby prawdziwość tego wydania uznaną była, przysłano exemplarz jego instytutowi francuzkiemu, z przyłączonym listem sir John'a Sinclair'a, w którym tęgo się on trzyma przy rzeczywistości tudzież autentyczności doskonałéj oryginału *gaëlic'kiego*. Powtarza jeszcze to, co już było nieraz powiedziano, że poezya ta w oryginale nieskończenie wyższą była nad przekład Macpherson'a, i że Macpherson, zamiast podniesienia starych ballad, rzeczywiście je popsował, i powi-

nien był tę im wyrządzoną krzywdę wynagrodzić.

Pomimo te dowody, które nie zdają się wiele interesu w sobie zawiérać, ale które się łączą z pewnym gatunkiem zagadnienia *historyko-literackiego*, ciekawego dosyć, mniemamy, że można zachować wielkie i słuszne powątpiéwanie, względem autentyczności poematów Ossijan'a.

Nie mówimy przez to, że nie istniał i nie istnieje do dziś dnia dyalekt *gaëlic'ki*, używany w części Irlandyi tudzież w górach szkockich; nie mówimy bardziéj, ażeby ten język nie był poetycki, i nie okazywał na sobie, jak to uważali uczeni, którym nie zaprzeczamy, pewnego podobieństwa z hebrajszczyzną, ani utrzymujémy, żeby w tym języku nie było pewnego rodzaju literatury popularnéj, w piętnastym i szesnastym wiekach, zachowanéj. Przetoż i Buchanan powiada o tych bardach szkockich, odległych następcach bardów, których wzmiankuje Tacyt:

Accinunt autem carmen non inconcinnè

factum, quod fere laudes fortium virorum contineat.

Pewna książka do modlitwy, z wieku szesnastego, w nocie imie Fingala wymienia. Inna książka szkocka, z tegoż czasu, wydana przez pewnego biskupa, zawiéra w sobie użalanie się nad tém, że szkoccy górale przenoszą pienia grubijańskie swoich ojców, tudzież bajeczne czyny ich bohatyrów nad bogobojne i zbawienne czytelnictwo. Wątpić nakoniec nie można, ażeby się nie zachowało w górach szkockich śladów i pamiątek téj poezyi z podania. Rzeczą jest niezawodną i świadectwami tłumu wędrowników stwierdzoną, że imie O s s i j a n'a przechodziło tam, powtarzając się, z ojca na syna, że do niego łączono nawet przymiotnik ślepego, *Ossian dall.* Zdaje się również, iż więcéj niż jedno przysłowie gminne głosiło niektóre czyny Fingala, i że wspominaną była *Agandecca, córa śniegu.*

Nakoniec, nie można także powątpiéwać, stosownie do wykładu prawnego i rzetelnego kommissyi *higlandzkiéj*, ażeby się nie

natrafiało, w pieniach *gaëlic'kich*, na niektóre malowidła wojny, na niektóre uczucia patryotyczne i miłośne, w dziele Macpherson'a objęte.

Po nim i po wziętości jego dzieła, inne poszukiwania i śledzenia w górach szkockich, rezultat poetycki, podobny do jego, wydały. W r. 1780, pewny doktor Smith, pokuszony chwałą Macpherson'a, zebrał pienia *gaëlic'kie*, przejrzał je pilnie i drukiem ogłosił. Wielkie zachodzi podobieństwo w przedmiotach i formach, pomiędzy témi kawałkami a piérwszémi poezyami Ossijan'a; można mniemać nawet, że drugi ich tłumacz styl piérwszego naśladował. Ależ ten doktor Smith przyznaje się dobrodusznie, że dla dokonania swojéj roboty, brał tam i ówdzie, po pół strofy, po pół wiérsza. *Recitatorowie* tych pieśni starożytnych, których on w górach napotykał, byli dla niego, jak powiada, gatunkiem edycyj niezupełnych, napełnionych przerwami i błędami textu, który on, jeden drugim, uzupełniać musiał. Widzimy, że rodzaj ten

pracy, jest pewnym gatunkiem przerobienia nowoczesnego, gdzie trudno jest część oryginalności piérwotnéj rozpoznać.

Pewny Anglik, P. Hill, zwiedzał także góry szkockie, dla odkrycia w nich fragmentów ossijanicznych. Ale tu porównanie mniéj jeszcze jest przyjazne autentyczności poematów Ossijan'a. Nie dla tego, ażeby poszukiwanie tego Anglika nie dostarczyło kilku kawałków nadsztukowanych przez Macpherson'a; lecz, że w powszechności jest to poezya różna zupełnie od jego: prostacka, ociążała, płaska. Naprzykład pienie, pod tytułem: *Modlitwa Ossijana*, wystawujące nam tego barda udającego się do świętego Patrika po radę, rozprawiającego z nim o Chrystyanizmie, i na ochrzczeniu się kończącego, pienie to podobne jest zupełnie do grubijańskich śrzedniego wieku baśni (*fabliaux*); nic się w niém nie przebija z charakteru wzniosłego, pełnego entuzyazmu i uczuć, jaki w poezyach Ossijan'a, ogłoszonych przez Macphersona, oddycha.

Owoż niektóre piérwsze powątpiewania powody. Można jeszcze wyprowadzić inne z samegoż charakteru Macpherson'a, który zdaje się bydź biegłym, sławy i fortuny wyszukiwaczem. W zbyt młodym wieku ogłasza on dzieło piérwsze pod swojém imieniem, poemat o położeniach miejsca i pamiątkach gór szkockich. To mu się nie udaje; nie był zgoła czytanym. Bierze tedy znowu część obrazów, w poemacie swoim umieszczonych; swobodnie je rozwija w prozie wyborowéj i harmonijnéj; łączy je z niektórémi ułamkami starych pieśni *gaëlic'kich*, od których natchnienia zasięga; i śmielszy już pod przybraném imieniem, zbytkuje w barwach i sztuce wysłowienia, którą pozorna surowość bardziéj jeszcze pociągającą czyni. Pod tą nową formą, przez to przybrane dzikości oblicze, uderza umysły, rezonowania i wytworności syte. Po dostąpieniu takiego powodzenia, napastują go jak fałszerza, do tego stopnia, iż się boi przyjąć na siebie zarówno nagany, jak pochwały: broni się, a w téj obronie nawet

chwytają go i wiążą na piérwszém zaraz kłamstwie.

Ale jak wytłumaczymy sobie to wydanie oryginału, które przysłane było instytutowi francuzkiemu? — Jedném prawie słowem. Kopija, według któréj wydanie to wydrukowano, całkowicie przepisana była ręką samegoż Macpherson'a; zawiéra nawet ona podział na pieśni i księgi, w przekładzie jego przyjęty.

Zważmy więcéj, że w téj epoce język *gaëlic'ki*, który przez tak długi przeciąg czasu, był idiomatem grubym i gminnym, zaczął bydź piśmiennie uprawiany. W zamiarze ucywilizowania ubogich górali, w zamiarze oderwania ich od namiętności, tudzież przypomnień rodowitych, polityka angielska rozsiała pomiędzy nimi pisma w języku *gaëlic'kim*. Przełożono dla ich użytku całą bibliję, tudzież rozmaite nabożne i moralne książki. Wielu uczonych ludzi nabyło wprawy pisania, z mniejszą lub większą biegłością, tym dyalektem gminnym: Macpherson był z téj liczby. Możnaż

się dziwić teraz, że pokusa utrzymywania i popiérania kłamstwa, głaszczącego pychę narodową, że łatwość podkrzepienia go cząstką prawdy, wydała, chociaż zapoźno, ten rękopism *gaëlic'ki*, jedyny i ostatni dowód autentyczności poematów Ossijan'a? — a dowód, według nas, najwątpliwszy.

Dowód ten nie niweczy bynajmniéj zarzutów, z formy samego dzieła nawet, wyprowadzonych. Zaiste, sceptyzm w téj mierze powinien doznać jakiejś mitręgi, widząc mężów uczonych, jak naprzykład doktora Bler'a (*Blaire*), sławę poematów Ossijan'a z zapałem uznającego, głoszącego ich autentyczność i górność zarazem. Taką jest osobliwość uprzedzenia! Malcolm-Laing, w poematach Ossijan'a, niezmierny tylko *plagiat* upatruje. «Wasz Ossijan, rzecze, prawi mi o *roskoszy ze smutku*; jest to wyrażenie wzięte z Ilijady. Zawsze w nim daje się słyszeć szumienie oceanu; jest to naśladowanie tego pięknego wiérsza:

„βῆ δ ἀκέων παρὰ θῖνα πολυφλοίσβοιο θαλάσσης.“

Doktor Bler mówi przeciwnie: «Co to za wielki, z tego Ossijan'a, poeta! Wpośrzód Szkocyi, drugiego wieku, w czasach barbarzyńskich, napotyka on wyrażenia i obrazy, samemu tylko Homer'owi objawione. Powiada mi, podobnie jak Homer, o *roskoszy ze smutku!*» i t. d.

Widzimy, że podobnym sposobem rzecz roztrząsając, można wyczerpać na obie strony text cały, nie pomykając się bynajmniéj naprzód, z rozwiązaniem trudności.

Ale inne się zarzuty, moralne bardziéj niż literackie, nastręczają. Nie jestże to rzeczą osobliwszą, że w téj poezyi tak starożytnéj, która się aż w wieku Septima-Sewer'a umieszcza, nie masz najmniejszego śladu czci religijnéj, żadnego szczegółu obchodów uroczystych, żadnego nakoniec obrzędu, ale tylko nieoznaczona cześć jakaś dla cieniów poprzedników? Nie jestże to rzeczą zadziwiającą, że poemata z czasów barbarzyńskich, tak wielką wspaniałomyślność uczuć wyrażają? Gaëlowie i bardowie Ossijan'a *Macpherson'owego*, po-

dobni są zupełnie do tych, jakich wystawił Tacyt, na przygane i urągowisko wadóm rzymskim. Kiedy ten dziejopis kładzie w usta Galgaka te myśli melancholiczne i głębokie: *Sicut in familia recentissimus quisque servorum et conservis ludibrio est; sic in hoc vetere orbis terrarum famulatu novi nos ac viles in excidium petimur;* albo te ostatnie słowa: *proinde ituri in aciem majores vestros ac posteros cogitate;* nie jest to zaiste barbarzyniec, który mówi; lecz to są pojęcia filozoficzne i poetyczne razem, Rzymianina który, pod imieniem i z grubą ostrością barbarzyńca, rad jest energiczniejszą rzucić zniewagę na rozpustę i zbrodnie Rzymu. I cóż ztąd? doda ktoś, mowa tak wyniosła, czystość heroizmu, bezinteresowność, wspaniałość, aż do zbytku pomknięta w bohatyrach Macpherson'a czy też Ossijan'a, są fikcyą poetycką albo literacką, wszystkiémi témi zaletami przyozdobioną.

Dowód ten, przyznać potrzeba, najwięcéj w sobie mocy zawiérać się zdaje. Wié-

my z drugiéj strony, przez świéże doświadczenia, czém jest poezya ludów piérwiastkowych, albo ludów, cywilizowanych niegdyś, odpadłych w stan barbarzyństwa. Znajome są *pieśni greckie*, które tak uczona ręka zgromadziła, które umysł tak dowcipny, tak swobodny, tak różnostronny w swoich naukach, wyłożył i dał uczuć publiczności francuzkiéj. Poezya ta okazuje w sobie coś eliptycznego, coś śmiałego, coś postaciowego; ale jest zawsze dzika. Wielka energija, czasami nawet wielka szlachetność i wspaniałomyślność uczuć, nieoddzielną w niéj jest od łupieztwa, tchnącego dzikością, od tego upodobania w rabunku i wojnie, od tych nienawiści nieprzebłaganych, które człowieka piérwiastkowego, człowieka wróconego samemu sobie, znamionują. Nadto zważmy, jak te śpiéwki są krótkie, szybkie, takie właśnie jak życie miotane, tudzież nieznające siebie natchnienie, mogą utworzyć a pamięć zatrzymać. Ale przypuścić u takich ludów poemata długie, zupełne i rozporządzone w swoich częściach,

jednotonne wprawdzie, ale jednotonne sztucznie, to, zgodzić się należy, bardzo jest prawdzie przeciwném. Mniemamy przeto, że te pienia gminne znajdowały się w Szkocyi; że te pienia, pod klimatem nie tak szczęśliwym jak Grecya, musiały koniecznie, przez tę swobodę rodzimą i to natchnienie obyczajów miejscowych, zawiérać w sobie coś wyniosłego, coś dumnego, coś nieugiętego; że te pienia, zmienione przez podania ustne, mogły jedne w drugie pozachodzić, z sobą się pomięszać, zmącić nawzajem; że ręka biegła zdołała je rozróżnić, pooddzielać od siebie i oczyścić: ale żeby je przyprowadzić do tego stopnia poprawności dzikiéj, jeśli się tak godzi powiedzieć, i rozwinięcia, jakie im nadał Macpherson, potrzeba było wielkiéj pracy i przetapiania, żeby je przybliżyć nieco do charakteru, piérwotnych i oryginalnych, utworów. Rozumielibyśmy wreszcie, że obyczaje kaledońskie w Ossijan'ie Macpherson'a, tak są podobne do rzeczywistych, jak obyczaje dzikich Amerykanów,

skréślone za dni naszych przez męża obdarzonego genjuszem (*P. Chateaubriand*), do swojego wzoru. Pomimo sztukę, z jaką znakomity pisarz powprowadzał niektóre przysłowia dzikich, w swoich poematach *René* albo *Atala*, żaden, bez wątpienia, czytelnik nie jest przeświadczony, ażeby rzetelne obyczaje *Natchez'ów* miał przed oczyma. Przedsięwzięcie Macpherson'a, z wyraźną niższością talentu, coś w sobie z téj fikcyi literackiéj zawiéra.

Teraz, kiedyśmy już trudność filologiczną uprzątnęli, zagadnienie poetyckie rozwiązać nam wypada.

Nie jeden, mniemalibyśmy, powié: — Mniejsza o to, czy te poemata pochodzą z północy, czy z południa, czy są Ossijan'a, czy też Macpherson'a płodem; idzie przed wszystkiém o to, czego są one warte. Wszelakoż punkt piérwszy na roztrząśnienie zasługiwał; albowiem w nauce filozoficznéj i porównywającéj płodów literackich, ważną jest sprawą poznać, przez nie jeden przykład, co może wydadź umysł

człowieka zostawionego samemu sobie, bez poprzedniczéj nauki, bez zarazy przykładu, i tego *plagiaryuszowstwa* wiekuistego, którego się, bez przerwy wszystkie narody, jedne względem drugich dopuszczają wzajemnie. Chcielibyśmy przeto widzieć nie, które z tych poezyj *gaëlic'kich*, w czystéj i piérwotnéj ich dzikości. Ale gdzież to znajdziemy? Ułamki prawdziwie oryginalne, które cytują, tak są krótkie, iż nie mogą żadnego dadź o téj poezyi wyobrażenia. P. Suard opowiadał, że niejakiś Macdonald, szlachcic szkocki, uczony i dowcipny, często przed nim z entuzyazmem ułamki *gaëlic'kie* deklamował: ale P. Suard nie znał zgoła tego języka; podziwienie zaś P. Macdonald'a mogło zależeć od tego przesądu, który w oczach naszych, nadaje wielką bardzo wartość temu wszystkiemu, cokolwiek sami tylko umiémy.

Lecz jeżeli nie wierzymy w autentyczność poematów Ossijan'a, w ich formie i rozwinięciu teraźniejszém, zważmy jaką przywiązywać należy cenę do sztuki nowocze-

snéj, która je ułożyła. Wytłumaczmy oraz, dla czego ta fikcya zyskała tak wielkie powodzenie, jaki to gatunek entuzyazmu i powabu uwiódł wszystkie literatury europejskie do naśladowania Ossijan'a. Nie mówimy o przekładzie Letourner'a. Ale widzimy, jakiém podziwieniem sławny Goëthe zdjęty był ku Ossijan'owi, któremu taką potęgę melancholii przyznawał, że *Werther* jego, przed zadaniem sobie śmierci, czyta Ossijan'a. Widzimy, że Cesarotti, umysł świetny, swobodny i łatwy, na literaturze greckiéj wykształcony, przenosił prawie Ossijan'a nad Homer'a, i barda kaledońskiego, na wiérsze włoskie, pełne świetności i ruchu, przetłumaczył. Przeciwko tak znamienitym powagom, wystawić można jednę, Wolter'a, który częstokroć szyderstwo w narzędzie wysokiego rozumu przeistacza.

«Pewny Florentczyk, opowiada Wolter, literat, trafnego sądu i ukształconego smaku, znajdował się raz w bibliotece milorda Chesterfield'a, z jednym professorem

oxfordzkim i Szkotem, który uwielbiał poemat *Fingala*, ułożony, jak powiadał, w języku *gaëlic'kim*, będącym dotąd jeszcze, po części, mową Niższych-Bretonów. — Jakże starożytność jest piękna! zawołał; poemat *Fingala*, z ust do ust przeszedł, aż do dni naszych, ledwo nie od lat dwóch tysięcy, nie będąc nigdy w niczém zmieniony: tyle to piękności prawdziwe mają potęgi nad umysłem ludzkim! I wnet przeczytał, przed obecnémi, ten początek Fingala:

«Kukulin siedział przy murach Tury, pod drzewem okrytém powiéwnémi liściami; włócznia jego spoczywała przy opoce mchem pokrytéj; u stóp jego leżała tarcza na trawie. Pamięć jego zaprzątniona była przypomnieniem wielkiego Karbara, bohatyra zabitego przezeń na wojnie. Moran potomek Fitil'a, Moran strażnik oceanu, stawił się przed nim.

«Powstań, rzecze, Kukulin'ie; widzę okręty Swaran'a, wrogowie są liczni; nie jeden bohatyr, przez czarne się morskie wały pomyka.

«Kukulin, z błękitnémi oczyma, odpowiedział jemu: Moran'ie, synu Fitil'a, zawsze cię zdejmuje trwoga; przestrachy twoje pomnażają liczbę nieprzyjaciół. Może

to gór pustych mocarz, który na równiny Ullinu w pomoc mi pośpiesza. Nie, odpowie Moran, Swaran to, w swojéj osobie, tak on jest wysoki, jak góra lodowata; widziałem jego włócznią; jest ona jak sosna wichrami z gałęzi odarta, puklerz jego podobny jest do wschodzącego księżyca; siedzi on na nadbrzeżnéj skale; podobny jest do obłoku pokrywającego górę.

«Owoż prawdziwy styl Homer'a! rzekł wtenczas professor oxfordski.

«Florentczyk wysłuchawszy z wielką uwagą piérwszych wiérszy *Fingala*, wyjąkanych przez Szkota, wyznał, iż go niebardzo te figury azyatyckie wzruszają, i że lepiéj mu się styl prosty a szlachetny Wirgiliusz'a podoba.

«Na te słowa, Szkot pobladł od gniewu; doktor oxfordski ruszył ramionami, z politowania; ale milord Chesterfield, Florentczyka uśmiéchem approbującym ośmielił. Florentczyk zagrzany, a czując, że go wzmagano, rzekł: — Mości panowie, nic nie masz łatwiejszego, jak skręcać i przesadzać naturę, nic trudniejszego, jak umieć ją naśladować. Jestem ja, po części, z rzę-

du tych, których we Włoszech zowią: *improvisatori*, i jeżeli chcecie, będę wam deklamował ciągle przez dni ośm wiérszami podobnym stylem orjentalnym, a to mi najmniejszéj nie będzie kosztowało pracy; albowiem nie potrzeba żadnéj, ażeby nadętym bydź w wiérszach zaniedbanych, obciążonych epitetami, które zawsze prawie są też same, ażeby tłoczyć bitwy na bitwy i malować urojenia.

—Jak to WPan? WPanżebyś miał utworzyć epopeją natychmiast.—Nie mówię, że rozsądną epopeją, wiérszami poprawnémi, jak są Wirgiliusz'a, odpowiedział Włoch, ale poemat, w którym puszczę się za wszystkiémi mojémi wyobrażeniami, nie troszcząc się bynajmniéj o nadanie im porządnego szyku.

—Wyzywamy WPana, rzekli Szkot i Oxfordczyk. — Bardzo dobrze; proszę mi dadź przedmiot, odpowiedział Włoch. Milord Chesterfield naznaczył mu za przedmiot *Książęcia-Czarnego*, zwycięzcę w *Poitiers*, który po tryumfie darował pokój.

«Improwizator pomyślał nieco, i tak zaczął:

«Muzo Albjonu, genjuszu, który przewodniczysz bohatyróm, śpiéwaj ze mną, nie gniew bezczynny człowieka nieubłaganego przeciwko swoim przyjaciołóm i nieprzyjaciołóm; nie bohatyrów, których bogowie wśpiérają z kolei, nie mając żadnego sprzyjania im powodu; nie czyny dziwaczne bajecznego Fingala, lecz zwycięztwa prawdziwe bohatyra skromnego i walecznego razem, który mocarzów okuł w kajdany, a swoich pokonanych nieprzyjaciół szanował.

«Już Jerzy, Mars Anglii, zstąpił był z empirejskich wysokości na swoim nieśmiertelnym rumaku, przed którym dzielne konie pierzchają jak beczące i bojaźni pełne trwożliwe owieczki, kupiąc się jedne na drugie, ażeby się ukryć co prędzéj w zagrodzie przed wilkiem straszliwym, który się z głębi ostępu wymyka, z zaiskrzonémi oczyma, z siercią najeżoną, z zapienioną paszczęką, trzodzie i pasterzowi, wściekłością zębów swoich niesytych krwiożerstwa, zagrażając.

«Marcin sławny obrońca mieszkańców żyżnéj Turyngii; Genowefa, pełna słodyczy bóztwo ludów pijących wody Sekwany i Marny; Dyonizy, który niósł swoję głowę w ręku, przed ludźmi i nieśmiertelnymi, drżeli oglądając, jak pyszny Jerzy, niezmierne powietrza łono przebywał.» i t. d.

«Florentczyk deklamował, tymże sámym tonem, więcéj kwadransa. Wyrazy wychodziły z ust jego, jak powiada Homer, gęstsze i obfitsze, aniżeli śnieg, podczas zimy spadający; wszelakoż te wyrazy nie były chłodne: podobne one były raczéj szybkim iskróm, które się wymykają z rozpalonego na kowadle żelaza, kiedy Cyklopowie zamaszystémi i tętniącémi młotami kują pioruny jowiszowe.

«Dwaj jego antagoniści zmuszeni byli do przerwania mu improwizacyi, wyznając, iż łatwiéj jest, aniżeli mniemali, szafować obrazami olbrzymiémi, a niebiós, ziemi i piekieł ku swéj pomocy przyzywać.»

Wiele się, bez wątpienia, dowcipu w téj parodyi zawiéra. Sięga może ona skrycie do strojenia żartów, nie tylko z Ossijan'a, lecz trochę nawet z samego Homer'a. Lecz zatrzymawszy się na piérwszym punkcie, będziemy przymuszeni wyznać, że redakcya, ten albowiem wyraz najwłaściwiéj tu przyjąć wypada, że redakcya, mówię, Macpherson'a, wydaje nam się po-

dobnicż jak Wolter'owi, zbiorem figur pompatycznych, brzmiących wyrazów, rodzajem improwizacyi azyatyckiéj, która nigdy szczęśliwego połączenia naturalności, wyboru i poprawnego wykształcenia zastąpić niezdolna. Mniemamy, prócz tego, co jest nader prostém pojęciem, a które wszakże nikomu, w całym ciągu sporu tego, nie przyszło do głowy, że większa część powodzenia Macpherson'a, nowemu się użyciu prozy poetycznéj należała. Anglija nie była podobnie jak Francya, do pewnego rodzaju prozy wyniosłéj, namiętnéj, ze śmiałością postaciowéj, przyzwyczajona. Kiedy Gibbon zaczął był pisać, styl się jego wydał nazbyt wytwornym; a Hume wyrzucał mu, iż stylu świetnego i wyniosłego w barwach, pisarzów francuzkich, naśladował. Wielkie pokuszenie się o prozę poetycką, doświadczone przez Macpherson'a, żywiéj pisarzów angielskich opanowało. Aż do tego czasu imaginacya u Anglików trzymana była na odwodzie, ażeby jéj użyć tylko w wiérszach; z Macpher-

son'em weszła ona do prozy. Wykładamy przeto nader snadnie żywe wrażenie, jakie podobne dzieło powinno było uczynić; i, uznajemy piękności nowe, które, z tego pomięszania przypomnień narodowych, zręcznie i biegle zebranych, a z użycia, niezwykłego w języku angielskim stylu, powstały. Zaiste, nie według to napuszystości jednokształtnéj przekładu Letourner'a, sądzić powinniśmy poemata Ossijan'a: text angielski nierównie więcéj blasku, świetności i energii w sobie zawiéra. Posiada on w swoim zbytku i przepychu dzikim, coś poważnego i ożywionego, co się imaginacyi nieskończenie podoba.

Co więcéj; bohatyrowie Homer'a, za twardych, okrutnych, nieprzebłaganych, znajomi byli; poezya nie była jeszcze opanowała podań starożytnych o obyczajach ludów północnych, o ich wspaniałości, tudzież czci ich dla kobiet. Tacyt opowiada, że Germani, mniemali widzieć, w białogłowach, coś czcigodnego i świętego. Pojęcie to niestraconém zostało dla Macpherson'a.

Cywilizacya nowoczesna dostarczyła mu, również pojęć wspaniałomyślności, które zmięszanie z barbarzyństwem wybitniejszémi uczyniło.

W poemacie Ossijan'a, pod tytułem *Lathmon*, dwóch młodych wojowników, Gaul i sam Ossijan, podobnie jak Nizus i Eurialus, w nocy, obóz nieprzyjacielski przebywają. W Wirgiliusz'u, Nizus i Eurialus, tak tkliwi w swojéj przyjaźni, w swéj miłości synowskiéj, z najzimniejszą krwią, nieprzyjaciół swoich uśpionych mordują. Przeciwnie, pod prawem punktu honoru nowoczesnego, wojownicy ossijaniczni zatrzymują się, i jeden z nich do drugiego przemawia: — Chciałżebyś zmazać twój bułat? przebudźmy ich i wyzwijmy do walki. To mówiąc, przerywa ciszę nocną, uderzając o tarczę, a cały obóz zrywa się ze snu. Owoż cały ten obóz pod bronią, przeciwko dwóm tylko ludzióm; potężne razy włóczni, z jednéj i z drugiéj strony są zadane: ale dzień zaświtał; a całe wojsko postrzega, iż wystą-

piło orężnie, przeciwko dwóm tylko wojownikóm, którzy je lekce poważają. Cóż czyni dowodźca? — zatrzymuje, hamując swoich żołnierzy; występuje sam jeden, mówiąc: «dwaj są tylko!» Wyraz górny, zasięgnięty podobnież z wyobrażeń wspaniałomyślności rycerskiéj nowoczesnéj! Stawa do walki pojedynczéj przeciwko jednemu z młodych wojowników, który jedném go włóczni ugodzeniem rozbraja. Już ma zginąć, ale go przyjaciel przeciwnika, zasłaniając tarczą, ocala. Znajduje się tu, jakby się zdawało, walka wspaniałomyślności, zdobywanie się, z obojéj strony, na coraz górniejszy heroizm, od dzikości, obyczajów piérwotnych, daleki.

Mamy przykłady dawnéj poezyi wojowniczéj i prawdziwie barbarzyńskiéj, mamy te hymny skandynawskie, które Olaüs zgromadził. Nic się w nich podobnego nie zawiéra. Król Lodborg, popadłszy w ręce swoich wrogów, zamknięty jest w więzieniu, gdzie trawiony od gadu, umiéra. Współczesny Skald, te konającemu kładzie

w usta wyrazy: — «Boginie śmiérci mię wzywają, słyszę ich głosy, pośpieszę wkrótce, zasiąśdź przy nich, w górnych przybytkach, i pić z niémi piwo; umiéram z uśmiéchem.» Owoż górność barbarzyńska. Nie masz tu bynajmniéj téj wyrafinowanéj wspaniałomyślności, tudzież entuzyazmu rycerskiego, który bohatyrów Ossijan'a znamionuje.

Innym rodzajem piękności, znajdującéj się w Ossijan'ie, który również mało jest stosownym do dzikości czasów barbarzyńskich, jest melancholija. Bez wątpienia, w życiu dzikiém, jak to często uważano, śpiéw ludzki jest smutny; ale długie rozmyślanie nad tą smętnością, pewny gatunek marzącego spirytualizmu, wszystko to należeć się zdaje, raczéj do społeczności posunionych daléj w cywilizacyi, niż do społeczności piérwotnych.

Melancholija Ossijan'a, tak bardzo jest do melancholii Milton'a podobna, że wielka bierze pokusa wierzyć w naśladowanie; nie jest ona wszakże mniéj przez

to wyrażającą i tkliwą; możemy jéj się uczyć dwoiście. Ow doktor Smith, który po Macpherson'ie zebrał poezye *gaëlic'kie*, ogłosił pienie Ossijan'a ślepego, siedzącego na grobie dziadowskim, który na kamieniu grobowym, ogrzany promieniami słońca, pozdrawia tę gwiazdę, już przez siebie niewidzianą.

«Synu niebiós, kroki twojego biegu są piękne, kiedy w twojéj okazałości, przechodzisz ponad naszémi głowami, i kiedy, przed twojém obliczem nawałności rozpraszasz. Pięknémi są twoje złociste włosy, kiedy się zanurzasz w odmętach oceanu, i nadzieja twojego powrotu niemniéj jest piękną. W ciemnościach nocnych, nie gubisz ty swojéj drogi, a burze wzruszonych przepaści morskich, napróżno się tobie opierają. Na głos poranku, jesteś zawsze gotowym, a światło twojego powrotu jest uroczne: jest ono uroczne, lecz ja nie oglądam jego, albowiem, nie możesz ty spędzić mroków nocnych z oczu wieszcza. Ale tumany lat biegących, mogą z czasem zaćmić oblicze twoje, a twe kroki, podobnie moim, obciążeć mogą z wiekiem. Możesz kiedyś, jak nocna gwiazda, siostrzyca twoja, bladą swą tarczę prowadzić po niebie, i zapomnieć na przebudzenie się i wstawania godzi-

nę; głos poranku będzie wzywał ciebie; ale ty jemu już nie odpowiész. Łowiec zatrzyma się na dolinie wyglądając twojego powrotu, ale nie obaczy cię więcéj, łza mu z oczu popłynie: promień słoneczny omylił nas! rzecze do swoich ogarów, i powróci zasmucony do swojéj lepianki. Ale księżyc jaśnieć będzie w swojéj świetności, a bładawe się gwiazdy, każda na swojém miejscu, rozradują. Tak jest, o słońce, kiedyś się ty zestarzejesz na niebiosach, a może i zaśniesz w grobie, jak Trathal. Zaliż nie przypominasz sobie o słońce tego nieustraszonego wodza? (*).»

Macpherson, ze swojéj strony, prawie podobny kawałek napisał: obaczmy dwóch współczesnych, którzy pracując nad jedném starowiecznén przypomnieniem, przyozdobili barwą swoją tema piérwotne i gminne, które w Szkocyi krążyło.

«O ty! które się toczysz ponad naszémi głowami, okrągłe, jak tarcza ojców moich, zkąd pochodzą promienie twoje słońce? zkąd pochodzi twoja światłość wiekuista? Ty się posuwasz, w twojéj urodzie okazałéj, a gwiazdy kryją się na niebie; księżyc blady

---

*) *Gaëlic Antiquities, by John* Smith p. 269.

i zimny zanurza się w odmętach zachodu. ale ty, ty się poruszasz samo jedno; bo i któż może bydź biegu twojego towarzyszem? Dęby na górach upadają, góry nawet same nikną przez bieg lat przemijających; ocean się podnosi i opada na przemiany; księżyc się gubi na rozłogach niebieskich; ale ty zawsze jesteś témże samém, w rozradowaniu ze świetności twojego biegu. Kiedy świat zaćmiony jest przez nawałnice, kiedy się grom rozlega, a błyskawica leci, ty się, w całéj swéj piękności, wpośrzód obłoków ukazujesz, i śmiéjesz się z burzy.... Niestety! naprózno jaśniejesz ty dla Ossijana; on albowiem promieni twoich nie ogląda, czyli twoje włosy złote pływają, wśrzód obłoków, na wschodzie, czyli drżącémi promieniami objaśniasz zachód.... Ale, może podobnie do mnie i ty, jednę tylko porę życia masz, o słońce! a twoje lata będą miały swój koniec? Może zaśniesz kiedyś na łonie obłoków i nie usłyszysz porannego głosu?»

Jest rzeczą oczywistą, że oba te kawałki są roboty nowoczesnéj, na gruncie nieuprawnym i starowiecznym oparte; a kiedy przywiedziemy sobie na myśl, nieporównane Milton'a apostrofy do słońca, pojmiemy snadnie, łatwość i blask naśladowań zarazem. Albowiem, zdaje się, iż

z tych pięknych i ożywnych wyrażeń Milton'a, wynika coś zawsze takiego, co każdą duszę, mniéj więcéj poetycką, niedobrowolném wzruszeniem przejmuje. Tutaj, jak widzimy, kwestya literacka w kwestyą filologiczną zachodzi. Ten kawałek, którego się uczymy jako dzieła poetyckiego, daje nam poznać oraz, do jakiego stopnia bydź on może dziełem sztuczném czyli podrobioném.

Tak więc, postrzegamy w Ossijan'ie, tylko usilność odmłodzenia literackiego, za pomocą naśladownictwa form dawnych, postrzegamy najpiérwsze proby tego podrabiania myśli i stylu, właściwego literaturóm zestarzałym: a co jest rzeczą godną uwagi, to nade wszystko, że w tych uczuciach, które wiek ośmnasty najbardziéj obchodziły i zajmowały, w téj melancholii marzącéj, w téj religijności nieoznaczonéj, w téj posępnéj smętności, zastępującéj obrzędy wiary, poeta nasz Macpherson-Ossijan, był oryginalnym, w szczególniejszy sposób wyłącznym, śmiałym: jest to człowiek

ośmnastego wieku, który pod maską i płaszczem ślepego barda, interesuje czytelnika. Jego *Oskar*, jego *Malwina*, jego *Fingal*, wszystkie te osoby, które on poprawił, wygładził, upięknił i wprawił w ruch i czynność w swoim poemacie, są odbiciem tego ducha sentymentalnego ośmnastego wieku. Mniemana prostota Macpherson'a w jednym tylko jest punkcie, w monotonii. Jest to rzeczą naturalną, zaiste, że w naśladowaniu bytu dzikiego, nieokrzesanego, które przygody tylko wojny jedynie ożywiają, które nie zna innych katastrof, prócz śmierci, po bitwie, niewiele się rozmaitości znajduje. Jest rzeczą naturalną także, iż w społeczności podobnéj, niebo, słońce, księżyc, gwiazdy, góry, szum oceanu, porosty morskie na brzegi wyrzucone, zawsze pod pędzel poety powracają. Takim jest, po większéj części, koloryt poezyj Ossijan'a. Owoż; kiedy ten koloryt został wprowadzony do Francyi eleganckiéj, wytwornéj, filozoficznéj, rozumującéj nad wszystkiém, była to zaiste wielka nowość, była to próbka

natury, którą wracano ludzióm, od dawnego czasu od oglądania jéj oblicza odwykłym.

Wszelakoż potrzeba było czegoś więcéj utworzonego przez sztukę nowoczesnego redaktora: a tém się okazało to uczucie smutne i surowe, ta nieokréślona melancholija życia, to wruszenie obłędne zastępujące pewną i oznaczoną cześć religijną, które przedziwnie przypadło do tych ostatnich lat ośmnastego wieku, do tych czasów ogołocenia, po dniach boleści, prześladowań i wygnańczego tułactwa, wreszcie nastałych. Ta poezya Ossijan'a jest nakształt pieśni jednotonnéj, zręcznie wymyślonéj dla kołysania dusz, smutkiem i rozmyślaniem, znużonych.

Jakąż naukę smaku z tego roztrząsania wyciągnąć możemy? — Oto przekonanie o potrzebie, ażeby literatura, we wszystkich przedsięwzięciach i kuszeniach się swoich, jeżeli chce interesować powszechniéj, była miejscową i współczesną. Wtenczas nawet, kiedy dla oszukania smaku współżyjących, imaginacya szuka zmyśleń oddalonych, kiedy

się przeobraża, przestraja i pod udaném się imieniem ukrywa, zawsze, przez wystawienie obecnych, pod tą postacią przybraną, wypadków, podoba się i jest wielowładną. Strońmy więc od naśladownictwa, strońmy od literatury fałszywéj i sztucznéj; należmy do naszych czasów przez życie i wzruszenia, a zasłużymy żebyśmy należeli do nich przez talent.... Bądźmy ludźmi piérwéj, niż pisarzami (*).

---

*) Artykuł ten jest przerobieniem VItéj lekcyi drukowanéj, z kursu literatury francuzkiéj P. Villemain; usunęliśmy z niéj niektóre obojętne dla naszych czytelników względy, wielu oraz wyrażeniom inny obrót nadając. Z tego samego źrzódła, na przyszłość brane rozprawy, podpisywane będą głoską *V*, w nawiasach: (*V*.).

ROZMAITOŚCI.

PRZYWILEJE DWÓCH KRÓLÓW POLSKICH, DANE DOKTOROWI NADWORNEMU MIKOŁAJOWI BUCCELLI (*).

Przywiléj na majętność.

Stefan Bożoju Miłostju Korol Polski i. t d.

Oznajmujem sim naszym listom komu budiet potreba to wiediet, nineszuym i na

*) Mikołaj Buccella, Włoch Padewczyk, najpiérwszy lekarz nadworny, *Archiater*, króla Stefana, ale który nie był obecny w początkach ostatniéj choroby, którą król w Grodnie był złożony. Przybył już wtedy, gdy żadne leki życia króla uratować nie mogły. Użyty był w jego niebytności inny lekarz królewski Szymon *Simonius*, którego publicznie

potom buduszczym, iż szto w roku 1580 po zostiju z sieho swieta kasztelana Kijewskaho starostyLiubeczskaho, dierżawcy Kozliskaho, Kuznickaho i Perewalskaho, pana Pawła Sapiehi, dierżawu Perewalskuju, ktoruju Jebo Miłost od prodka naszoho ś. p. Korola J. M. Zykihmonta Augusta, w pewnoy summie pieniezey 1500 kop groszy litowskich pra-

---

obwiniał *Buccella*, iż krwi upuszczeniem w gorączce, i pojąc chorego starém winem, króla zgubił. Ztąd wszczęła się między obiema lekarzami kłótnia piśmienna. Z powodu nagłéj prawie śmierci króla Stefana, różne po kraju wieści latały. Ze zlecenia Alberta książęcia Radziwiłła marszałka W. X. Lit., przytomnego podówczas, opisał *Simonius* chorobę i sposób leczenia swego, i opis ten wyszedł z druku w Nissie, r. 1587. *Stephani I. Pol. Reg. sanitas, vita medica, aegritudo, mors a Simone Simonio Lucensi M. D. atque intimo Maj. illius medico.* Zaraz na Sejmie następnym pokazał się list, którego pisarz nazwał się Jerzy *Chiakor* Węgrzyn sekretarz kor., był zaś nim *Buccella*, i znowu bezimiennego rozbiór tegoż listu; w obudwóch zaś pismach, inną wcale chorobę króla, i sposób leczenia, wystawia. Nie dość miał na tém *Buccella*, wydał pismo, w którém całą winę Simoniusa odkrywa: *Stephani I. Pol. Reg. sanitas, vita medica, aegritudo, mors, Cracoviae*, r. 1588. Odpisał na nie *Simonius*, a ten odpis zbił znowu *Buccella* w Krak. r. 1588. Prócz tego na ów list Jerzego Chiakora, i drugie przy nim pismo, wydał odpowiedź *Amadaeus Curtius* Włoch lekarz z *Ticinum*, czyli *Tesino*, r. 1587, w którém obiecuje w imieniu Simoniusa rozbiór 32 kuracyy lekarskich przez Mikoł. Buccellę w Polscze po szarlatańsku odbytych, gdzie miał okazać bezsumienność Buccelli, a wspania-

wom dożywotnim miel — Z łaski Naszoy hospodarskoje pozwolili jeśmo doktoru naszomu panu Mikołaju Bucceli u małżonki nieboszczyka Pana Kijewskoho Pani Hanny Grigorjewny Chotkiewiczowny i potomkow jeho miłosti okupiti, za kotorym pozwoleniem i z wiedomostiju naszoju pomienienny doktor

---

łość w pokryciu win jego Ferenca Weselina chirurga królewskiego, który razem z Buccełlą przy zgonie króla był przytomnym. Lecz podobno obietnicy nie wykonał. Że zaś ów *Amadaeus Curtius* był sam *Simonius*, wyjawił *Buccella* w pismie: *Confutatio responsi Simonis Simonii Lucensis, ad epistolam Georgii Chiakor, Secretarii Hungari, de morte Stephani Regis, nec non ad ejusdem epistolae examen sub Amadaei Curtii Ticinensis ficto nomine editi. Crac.* 1588. Nie zaniedbał swéj sprawy Simonius, wydał znowu: *contra Nicolaum Buccellam Olomuthii*, r. 1589. Nie jestże to obraz zdarzeń podobnych i w naszym wieku? Po zejściu Stefana króla, *Buccella* lekarzem nadwornym Zygmunta III. został, ale z zamilczenia o nim, zdaje się, iż niedługo żył potém. (Siarczynski. *Obraz wieku panowania Zygmunta III.* Cz. I. p. 49 et sqq.)

W lexikonie Jocher'a znajdujemy:

Buccella (Nicolaus) ein Italiäner von Padua, war bey verschiedenen Königen von Pohlen Leib-Medicus zu Ende des 16. Seculi u. gab 1585. D. Stephani I. P. R. sanitatem, vitam medicam, aegritudinem mortem. u. weil sein Cegner, Simon Simonius darauf antwortete, noch im ermeldetem Jahre eine Wiederlegung darauf, ingleichen einen Brief unter Ge. Chiakor Nahmen, endlich: Confutationem responsi Sim. Simonii Lucensis ad epistolam Ge. *Chiakor*, unter dem Nahmen Amadei Curtii Ticinensis. (cf. *Allgemeines Historisches Lexicon.*)

nasz onuju summu pienieży 1500 k. gr. ufuju społna Pani Kijewskoy otłożywszy i wżo już w dierżaniju i używaniju ot kolko god dierżawy perewalskoje buduczy, prosił nas Hospodara abychmo to jemu prawom dożywotnym dawszy listom priwilejom naszym utwierdili — Ino my majuczy łaskawy wzbliad na ucztywyje wiernyje pilnyje i ustawicznyje służby mienowanaho Pana Mikołaja Buceli, kotoroje on Nam Hospodaru z sebe pokazujet, z łaski naszoje hospodarskoje dali jeśmy jemu i siem listom naszym dajem dierżawu perewalskoju i to jemu do żywota jeho utwierżdajem. Majet on tuju dierżawu perewalskuju w toy sumie pienieżey 1500 k. gr. l. dwor z miesteczkom i folwarkami s pasznieju dwornoju z seły i zo wsemy gruntami z liudmi na nich osiełymy i pustimy s płaty groszowymi, z daniny żytnymy, owsianymy y siennymy y z inszymi z poddanych prichodiaszczymi powinnostiami i robotami, także stawy z rybami i za wsiemi jakim kolwiek nazwanymi pożytkami na siebie dierżati i wybierati i używati według woli i upodobania swojeho pożytkow tam sobie rozszyrati i prybawliaty ne buduczy powinien z toje dierżawy perewalskoje i z owsianych płatok i pożytkow od tudy prychodiaszczych na nas Hospodara i do skarbu naszoho niczoho dawati i nikotoroje liczby czynity aż do żywota swojeho wedzi czynszy i inszyje wsiakije podatki wodług zwykłaho obyczaju i ustawy rewizorskoje poddanych tamecznych

brati majeti, a po żywotie jeho taja summa pienieżey ot nieho za dierżawu perewalskoju Pani Kiejewskoy otłożonnaja 1500 k. gr. potomkom bliskim krewnym y powinowatym jeho abo tomu komubyto za opisom słusznym ot nieho należało, na czas pewny w liste zastawnom od prodka naszaho nieboszczyku Panu Kiejewskomu danom opisany to jest na deń i swiato rimskoje ś. Jana Krestitela ze skarbu Naszoho oddana i niczeho z toje summy ne wystruczajuczy wsio społna zapłaczona byti majet. A iż jeśmo pomienutomu doktoru naszomu pozwolili i tym listom naszym pozwalajem w toy dierżawie naszoy perewalskoy dwor dla nas zbudowati i gdzieby rozumiał pożyteczne na riekach młyny budowati, stawy, sażowki kopati i grebli sypati i toż odin ostrow paszni dwornoje, kotoroy czasto w powodi z Niemna i z odnogi niemnowoje zatopłajet i szkodu niemałuju paszni dwornoy czynit Tamoju (tamą) w koło zasypati żeby woda onomu szkoditi nie mohła — i no pri oddawaniu toje sumy gołownoje 1500 k. gr. majem Komissarow naszych do toje derżawy perewalskoje wysłati, kotoryje aby obaczywszy to sztoby Pan Bucełła za dierżania swojeho tam w Prewalce pribudował, stawy, sażawki kopajuczy, także onoy ostrow tamujuczy nakład podniał, to oszacowali i jaksia welikaja suma pienieżey s porachowania ich okażetsia byti winna, to wsie pri tichże 1500 potomkom Pana Mikołaja Bucełli abo tomu komuby

to należało z skarbu naszoho zapłaczono byti majeti. A hdieby na tot rok i świato pomienienoje taja summa pienieżey potomkom abo tomu komuby to od Pana Mikołaja Bucelli należało ze skarbu naszoho ne była otobrana. Tohdy oni to do takowohoż swiata a po tom rok ot roku aż do otobrania onoje summy pienieżey dierżati i używati majuti. A my Hospodar sami za sebie i za potomkow naszych pryrekajem, iż meży rokow toje dierżawy prewalskoje u potomkow Pana Mikołaja Bucelli abo komu to on listom swoim zapisał, szto jemu wolno budiet, okupowati niemajem odno na rok zwyż pomieniony na dzień ś. Jana Krest. a nie oddawszy toje summy pienieżey wsieje społna 1500 k. gr. l. kotoryyby P. Mik. Bucella w budowaniu domu, młynow i w sypanju stawow i sażawok, także w sypaniu hrebli uczynił ne udiaławszym toje dierżawy pierewalskoje u nich brati i do stołu naszoho Hospodarskoho priworoczati nie majem. To też osobliwie tym listom naszym warujem, iż pri odkładaniju summy pienieżey na czas opisany żyto i zboże wsiakoje, kotoroje na on czas pri toy dierżawie pierewalskoj na paszniu dworskoju zasiejano budiet, nie chto inszyi odno potomki Pana Bucelli komu taja suma pienieżey otkładana budiet pożati (żąć) i k pożytku swojemu obernuty majut i na to dali jesmo P. Mik. Bucelli doktoru naszomu Perewalsk. Dierżawcu sey nasz priwilegii z podpisom ruki naszoy Hospodarskoy, do

kotoroy i pieczat naszu priwiesiti jeśmo wieleli. Pisan w Grodnie lieta bożeho narożenia 1586. mca lutego 20 dnia. Lew Sapieha Podkancl. W. X. L. (*)

Przywiléj na szlachectwo doktorowi Mikołajowi Buccelli.

Zykhmont III. Korol Polski W. K. L. i t. d.

Oznaymujem sim listom naszym, wsim komuby to wiedati należało, nienesznym i na potom buduszczym, iż aczkolwiek cnota takowoju moc majet, iż sama czerez siebie daleko słynie a niepotrebujet ani herbami żadnymi ani też czużoju sławoju słyniet, odno swoimi postupkami u wsich jest wziata i wyniesiena, ani nieszczastiem, ani pripadkom żadnym wywierniena i z miestca poruszona byti nie możet, ale sława chotby nie rad a onoju nasladowati musit a ona wsich siebie nasladujuszczych wynosit i w pamiat wiecznoju priwodit. Tak iż kto jeju priozdobieny jest tot wsiakiy wstup do szczastja wsiakoho majet, że i nahorody od żadnoho potrebowati nie możet, dla czohoby w cnotie pomnożenia brati, i utwierzdienia w niey miet nie mohli, i owszem chotby byli za

---

*) Metryki W. X. L. Tom 73. fol. 82. verso.

naypodleyszych rozumieni. Tohdy odnak ot predsiewziatoje cnoty ustawat niemajet i pewnie że za dobre postanowenych Reczach pospolitych i u walikich Monarchach, kniażat, i panow słusznie to zawsze zachowywano bywajet, że jeśli kto druhich prenosit cnotliwymi postupkami, taki nietolko inszymi nahrodami opatron ale też i do wsiakich wolnosticy i prawa każdaho pripuszczon bywajet i takim sposobom do wyniesienia i wywyższenia stanu także i do znajemosti kniażat i panow, on sam i potomstwo jeho prychodiat, a to nie tolko sie diejet dla sprawiedliwosti, aby w Reczi Pospolitoy ludiem dobre zasłużonym szto czyjeho jest w nahorodu czesti oddawano było, ale też i dla dobroho spolnoho i ku ozdobie a zatrymaniu każdoje RPlitoje i gdyż wielikoju to moc majet gdy złyje srogostiju prawa i karanjem od złych uczynkow swoich otwedeni, jako zasie dobryje nahorodami ku rozmnożenju cnot priwedeny i prytahnieny bywajut. Abowiem tymi dwiema reczmi albo dla karanja albo dla nahorody liudicy o takije się reczy starajut, kotoryje potom z wielikoju sławoju i pożytkow w RP. dolho trwajut. Jakoż i teper jeszcze znaki sut że mnoho się od perwszych Monarchow dla osobliwych cnot swoich nahrodu otnosili odkul Herby poszli, aby tot ktory pered inszymi cnotliwymi postupkami swoim prodkował, buduczy obdarowan herbom był od pospolstwa otłuczony i w bolszom poważeniu wziaty

jako tot ktory bawiuczy się zawżdy cnotliwymi postupkami był sławniy aby drugiy z nicho wzory bieruczy byli także ku cnotie zapaleni, dla toho też poradok był wynaydien że odny tohoha druhije się inoho trymali, kotoroy poradok jako inszyje zacnoje narodowie i kniażata tak i w panstwie tom prodkowie naszy s. p. Koroli Polskije i W. K. L. zachowali; my też z przykładu prodkow naszych z wielikoju chutiu i potrebnoju to recz rozumiejuczy, tot poradok esmo zachowali, gdyż doktor nasz N. B. z Padwi, z rożenja zacnaho i starożytnoho R. P. i Panom swoim dobre zasłużonym, urożonyy buduczy od czasu niemałoho Korolu J. M. Stefanu prodku naszomu nietolko o zdarowiu radił ale i czerez wsi potreby wojennyje z moskowskim i z dwuma swoimy krewnymi żołnirmi statecznostiju, wieroju i s pilnostiju wielikoju służył i nietolko około Korolia J. M. samoha szto był powinien ale także s chuti swojey około dworu wsieho, i wsiech od kotorych był proszony, tak zranienych jako też jakokolwiek chorujuczych wielikoho i małoho stanu liudiey takoje staranie czynił, że naweżajuczy ich w obozie wielikoje niebezpieczeństwo zdorowie swoje podawał, i zawsze w pobożnosti, w rostropnosti, w skłonnosti a zwłaszcza naprotiwko liudiey narodu ryccrskiego, tak sie zachował, że dla tych ucztiwych i skromnych postupkow swoich jako u swiatoje pamiati prodka naszeho Korola J. M. Stefana także u Senatorów i wsiakoho

stanu liudey łasku sobie zjednał i tymi wiernymi służbami swoimi powinnych swoich do takowychże służb pobużał. A iż prodok nasz Korol J. M. Stefan za tyje służby jeho u wielikom Kniażestwie litowskom dobra nie naypodleyszyje jemu dati raczył. My też zrozumiewszy że pomienienny doktor nasz i s powinnymi swoimi toho umysłu jest, aby w korolestwie tom w kotorom tak mnoho let żył y tak mnoho trudnosti i pracy podniał mieszkanje mieti i żywota swojeho dokończyti mog, chotieczy aby jakoje trudnosti ot obywatelej toje RP. nieponosił tak też równo z drugimi, i gdyż to dobre zasłużył, wolnosti zażywał; do kotoroje woli naszoje i gdy też prystupiła za nim prośba posłow ziemskich kotoryje czerez Wielmożnych Jeronima Gostomskoho z Leżenice Kasztelana Nakielskoho Starostu Walczskoho i Stanisława Bykowskoho Kasztelana Konarskoho Starostu Liesczynskaho i Sieradzkoho, Prokopa Pieniążka Kawalera Sw. Łazara i Mawducoho Starostu Wendynskaho i Rumborskoho deputatow swoich do nas donosili. Aczkolwiek szlachetnie buduczy urożony i cnotoju dosyt pryozdobieny i pryszliachteny, wszakże aby odnies jakuju nagrodu i drugije tym samym aby byli do cnoty pobużeny i żeby też mieł jaki znak łaski naszoje nakoniec żeby niebył podleyszym niżli inszyje szliachtyczy w państwach naszych, proto pomienienoho Mikołaja Bukcellu i potomstwo własnoje narodu jeho ko-

toroje idieti z domu Bukcelli a mianowitie Prospera Lipiego i Filippa Bukcelli uradnikow naszych u wielikom Kniażestwie Litowskom ot mnoho liet w panstwie naszom mieszkajuszczych powinnych tohoto doktora naszoho Mikołaja Bukcelli do takowoho Szliachectwa i wolnosti jakowych szliachta Państw naszych używać zwykli prypustili jeśmo i sim listom naszym prypuszczajem i za prawdywyje szlachtu mieti choczem pridawajuczi do starych domu ich herbow wsi wolnosti kotorych szlachta państw naszych używajut. A szto sie dotyczet ich herbow starych tyje sut takije: pole żołtoje a czerez pole na ukos miestem biełym nie szyrokim rozdielenoje, w kotorom to poli czerez rownyje miestca try podnieszszyje znaki, każdyi z nich rozdzielenny czotyrymy liniamy prostymi, dwa drugim dwum sobie protiwnymi ku prostym kutom, siebie rozłuczujuczy a na wierch polia toho lew zołoty jakoby czerez szyrokost wierchnoju miesta biełoho perechodiaczy majoczy podniesiennoju nogu zadnioju prawoju a miecz dobyty pod nogami swojemi za rukojest dierżuczy wzgoru podniesieny także też i na niższom poliu, drugi lew stojaczy tymże sposobom kotoryje choczem mieti, aby po lewoy storonie mieli, a drugaja czast polia majet byt czyrwonaja, w kotoroy czasti u wierchu majet byti herb nazwany *Nałęcz* do kotoroho herbu swojeho dobrowolnie Domu Nałęczow Pan Stanisław Gostomski z Leżeniec Wojewoda Rawski, Starosta Radom-

ski i bratija jeho Pan Jeronim Gostomski Kaszt. Nakielski Starosta Walczski pripustili, pod kotorym Nałęczem w tomże polu czerwonym majet byt striela bielaja zelescem k gore z dwiema kryżami herb dawny familii starożytnoje Ichmosti Panow Sapiehow do kotoroho też jeho prynial Jeho Milost Pan Lew Sapieha Podkancl. W. X. L. Sta. Słonim. Mark. y Miadelski. A tyje herby choczem mieti aby on sam narod i potomstwo jeho derżali i używali kotoryje używajuczi, takuju wolnost majut mieti jakowuju mieli w dawnych swoich herbach i jakowuju Szliachticzi Państw Naszych w swoich Herbach majut ku pieczatowaniu listow ku ozdobieniu budowania swojeho, wolnost także kotoruju obdareni sut szliachticzi Państw naszych i kotoroju abo od prodkow naszych abo od nas samych czerez służby swoi dostupili. Także prawa, urady, dygnitarstwa i inszyje wsi reczy prereczennomu M. Bukcelli potomstwu i wsiemu narodu jeho spolnie z inszoju szlachtoju Państw naszych tak iż ot toho czasa obywatelmi tutoszimi byti majut i Szliachticzi Polskimi i Litowskimi majut rozumieni byti, dobra ziemskije, hdiekolwiek leżaszczyje, dostojeństwa duchownyje i świeckije derżati majut i w naszych wsielakich reczach niemajut byti poślednieyszymi nad szliachticzy państw naszych szto do wiedomosti wsich i każdomu z osobna a osobliwie szlachty dygnitarom i prełożonym jakikolwiek na siebia urad majuczym, donosim, oznaymujem i

roskazujem żeby wsim domu Bukcellinoho dla tak słusznych priczyn uszlachtennoho nietolko se niełaskawie stawił. Ale i owszem prikładom naszym takoy cnoty ich i tym kotoryje nie małoje świadectwo ucztiwych postupkow swoich otnosili, zyczliwymi i prichylnymi byli. Szto rozumiejem iż każdy z upreymoy chuti swojey inaczey nieuczynit. A jeśliby se kotorohokolwek stanu człowiek takowyy znaszoł kotoryby na wzgardu pomieniennaho domu Bukcellinaho także niemajuczi wzhladu na tyje wolnosti im ot nas Hospodara nadanye na Szliachectwo se ich torgał budi słowom, abo uczynkom o nich lżył. Tohdy takowyy winoju i karaniem takim jakowoje jest opisane na uszczerbcy sławy szliacheckoy w Statutiech i prawach ziemskich karan byt majet. A dla lepszoje wiery i pewnosti toje reczy sey nasz list rukoju naszoju podpisawszy pieczat naszu k nemu prywiesiti jeśmo roskazali. — Pisan w Warszawie na Seymie Walnom i dan pomienienomu Mikołaju Bukcelli czerez ruki W. Pana Lwa Sapiehi Podkancl. W. K. L. Starosty Słon. Mark. i Miadielskoho. Leta Bożoho narożenia 1589. Aprila 12. dnia. Panowania naszoho wtoroho pri bytnosti Jerzego Radziwiłła Kard. Bisk. Wil. St. Karnkowskiego A. G. J. D. Solikowskiego A. L. Jer. Rozrażewskiego B. Kujaw. Łukasza Kościeleckiego B. Pozn. Piotra Dunina Wolskiego B. Płockiego Ber. Maciejowskiego B. Łuck. i Brz. Albr. Baranowsk. B. Przemyśl. i Podkancl.

Koron. Piotra Kostki ze Sztemberga B. Chełm. L. Goslickiego B. Chełm. i t. d. —Pisar Matiey Woyna (*).

Mieliśmy przyjemne zdarzenie dostać rękopism, zawiérający w sobie zbiór wiérszy rozmaitych P. M. C. Płodóm tym młodego poety najsłuszniéj się należy naźwisko, *dumań poetyckich*. Nie masz w nich żadnego śladu autorskich pretensyj, gdzie wszystko z góry już zwykle bywa obmyślone. P. M. C. jest poetą, nie sadząc się na to bynajmniéj. Wspomnienia czasów przeszłych, obecna chwila, okoliczności otaczające jego, nastręczają mu obrazy myśli i uczucia, raz posępne i melancholiczne, znowu wesołe i ożywione, które zawsze wiérszem łatwym i szczęśliwym wyrażać umié. Przykład to jawniéj okaże:

WESTCHNIENIE ZA RODZINNĄ STRZECHĄ.

O łube sercu ustronie!
  Lat moich dziecinnych świecie!
Myśl ma zawsze na twém łonie,
  Gdziekolwiek los mną pomiecie!
Widzę was rodzinne domy,
  Rozsypane po dolinie;

---

*) Metryki W. X. Lit. Tom 73. fol. 622.

Tam rośnie sadek znajomy,
I znajomy strumyk płynie.
Na nim mostek ocieniła
Brzoza wiatrem kołysana;
Daléj grobla wysypana,
W gęstwę się olszyny skryła.
Wśród niw co mię wykarmiły,
Widzę cię wierzbo zielona!
Jak za starémi mogiły,
Szumisz nad drogę schylona.
Ileż razy w dni mych ranku
Spoczywałem pod twym cieniem!
Lub na tobie psi kurhanku, (*)
Omszonym strojny kamieniem!
Tam przy piecykach, na górze
Owce wonne rwą badylki,
Pasterz czujne wiodąc stróże,
Dźwiękiem trąby straszy wilki.
Z tyłu za dworem w olszynie
Pływają gęsi na stawie,
A na przyległéj dolinie
Igrają zrzebce po trawie....
O pełny pamiątek sadzie!
Nieskąpy płodu i cienia;
Stara gruszo, co w gromadzie
Porosłego pokolenia,
Jak pradziad między prawnuki
Wielo-letnie wznosisz czoło!
Ileżkroć, dzienne nauki
Skończywszy, z trudną mozołą,

---

*) Psia-Górka.

Darłem się, swawolnik młody,
Na twe gałęzie spróchniałe,
Po błyszczące złotem płody,
Zdrowe i smaczne, choć małe.
Tam pod karlistą jabłonią,
Truskawkę, pod listków cieniem,
Skrzętną wyszukawszy dłonią,
Niosłem ojcu z uniesieniem:
Tam znowu koło odryny,
Staranniem zbiérał dla matki,
Piérwsze dojrzałe maliny;
Tamem siał mą ręką, kwiatki.
Tuśmy, w piękne dni odligi,
Domy stawiali że śniegu,
Tocząc z braćmi na wyścigi
Kloc ciężki rosnący w biegu.
Przegryzłszy więzy swe w nocy,
Uciekł wilk w jamę złapany,
Tu go przy chartów pomocy,
Dognał Bronisz zawołany.....
Ach! jestże choć jeden kątek
Sadu, dziedzińca, budynków,
Coby w tęsknych myśli wątek,
Nie wplótł lubych przypominków?
Każde miejsce, każde drzewo,
Ma swoje osobne dzieje;
W nich jak słońce za ulewą,
Pamięć błogich dni jaśnieje!...
O lat ubiegłych słodycze!
Widzą was duszy spojrzenia,
Przez marzeń szkło tajemnicze;
W sercu, przy świetle wspomnienia.
Wy dla mnie gwiazdą wśrzód mroku!
Ku wam z łódką moją płynę:

Cóż, kiedy wola wyroku
W inną pędzi mię krainę!
Kiedyż ciebie ujrzę, miła
Strzecho rodzinnéj zagrody!
Coś me piérwsze dni ukryła,
Od światowéj niepogody!
Gdzie piérwsze w myśli ożyło,
I z dniami rosło pojęcie;
Gdzie piérwszém czuciem zabiło,
Do matki, serce dziecięcie!
Kiedyż twoje przejdę progi?
Kiedyż mię, drżącą prawicą,
Uściska ojciec mój drogi,
Z pełną radości źrzenicą?
Kiedyż matka rozczulona,
Lejąc łez roskosznych zdroje,
Przytuli do swego łona,
Wracające dziecię swoje?
Kiedyż brat i siostra luba,
Spotkają mię z uściśnieniem?
Kiedyż jéj dzieci, jéj chluba,
Wuja mię nazwą imieniem?
I źrzenicą niekłamliwą,
Zwiastując serca wesele,
Dłoń mi podadzą życzliwą
Pokrewni i przyjaciele?
Kiedyż?.... któż myślą proroczą
Czas szybki wyścignie w biegu?
Pragnąc, znośmy trud ochoczo,
Sterujmy łódkę do brzegu.
Spodziewać się; to człek może;
Ale uiścić nadzieje,
Ty tylko zdołasz o Boże!
Co sprawiasz losów koleje.....

— Opis obrzędów założenia w r. 1830 — i poświęcenia Kościoła Ewangelicko-Reformowanego, w Wilnie odbytych. — Z dołączonym tegoż Kościoła wizerunkiem. — Wilno. — W drukarni T. Glücksberga Księgarza i Typografa Cesarskiéj Medyko-Chirurgicznéj Akademii. — 1836. in 8vo. *oblong.* str. 82.

Uroczyste obrzędy, odbyte w dwóch ważnych dla nowego Przybytku, wyznania Ewangelicko-Reformowanego epokach, opisane w téj książce, poprzedza wstęp krótki, w którym wydawca, uznawszy za dzieło postępującéj cywilizacyi ludów religijną u nich tolerancyą, powiada: «Żaden z Rządów europejskich nie zachował onéj tak święcie, jak Monarchowie Rossyi, a że onéj skutkiem jest pomyślność i potęga narodów, to nas przekonywa naocznie; w tak krótkim czasie wzrosła ogromna Rossyi potęga. Każdy przychodzień obcego wyznania, znalazł w tym kraju bezpieczeństwo i ochronę zupełną, jak swojéj własności i dobytku, tak też religijnych obrzędów swoich nieścieśnioną wolność: można nawet twiérdzić, że się to przyłożyło do wzrostu Rossyjskiego narodu i potęgi: bo talenta wszystkich cudzoziemców, wszelkiego wyznania będąc poważane, i, że tak rzekę, przyciągnione nagrodami i zachęceniami Rządu do kraju, dzielnie dopomogły wielką wznieść Rossyi budowę. To Rossyjskich Monarchów uważanie poddanych swoich wszelkich wyznań,

za dzieci swoje, bez różnicy, jako dzieci ojca Niebieskiego, ściągnęło na kraj i Rząd ten błogosławieństwo Niebiós. Pod Rząd Rossyi gdy się i ten kraj dostał, wszystkie wyznania równą dla siebie znalazły opiekę i bezpieczeństwo. Pod tym przeto opiekuńczym Rządem, gdy wszelkich wyznań wznaszają się świątynie bez najmniejszéj przeszkody: Synod nasz Litewski Ewangelicko-Reformowany, za podaną przez W. Pawła Stryjeńskiego majora b. wojsk Polskich i kuratora spraw kościelnych, myślą, żeby na miejscu starodawnéj już przed 148 laty ku odprawianiu Nabożeństwa postawionéj, a teraz ku upadkowi nachylającéj się budowy, z funduszu ze składek dobrowolnych, mającego się utworzyć, wznieść nową i okazalszą. Postanowił projekt takowy doprowadzić do skutku; i t. d.»

Po tym wstępie następuje opisanie obu odbytych, jednéj w r. 1830, a drugiéj 1835, uroczystości. Opisanie to, jeżeli można tak powiedzieć, jest w akcyi, składa się bowiem, po większéj części z mów, przy obu uroczystościach przez duchowne i świeckie osoby mianych. Książka ta pozostanie zawsze dla następców, jako ciekawy zabytek historyczny, broniący od zapomnienia wypadki miejscowe. Życzyć należy, ażeby wszystkie, tym podobne, oznamionowane ważnością swoją zdarzenia, również uwieczniano. Jest to jedyny sposób przekazania potomnym prawdziwéj fizyognomii czasów, w których żyjemy.

— Historja biblijna podług pisma świętego tłumaczenia Wujka, dla użytku młodzi szkolnéj ułożona przez Leona Rogalskiego. — Część I. — Historja starego testamentu. — Wilno. — Nakładem i drukiem T. Glücksberga, Typ. Cesarskiéj Med. Chir. Akad. 1836. in 12mo. str. XII. i 429, omyłek drukarskich i rejestru str. 7.

Porządek układu i styl tego dziełka odpowiadają dostatecznie wszystkim warunkóm książek elementarnych: te jego przymioty sprawiedliwe obudzają życzenie, ażeby, szczigodny wydawca, który dla wieku dziecinnego znakomitą część trudów swoich poświęcił, przyśpieszyć chciał ogłoszenie drugiéj części *Historyi Biblijnéj*.

— Bliską ukazania się zpod prassy P. Glücksberga jest Zoologija, albo historja naturalna źwierząt w głównych zasadach, podług systematu Linneusza, trybem Blumenbacha; — z wielą dodatków i odmian zastosowanych do dzisiejszego stanu téj nauki. — Przez Norberta Alfonsa Kumelskiego, byłego Uniwersytetu Wileńskiego podbibliotekarza, następnie powołanego na professora *Technologii powszechnéj*, w tymże Uniwersytecie: Cesarskiego towarzystwa, badaczów natury, w Moskwie, i innych, członka: — i Stanisława Batys Gorskiego, honorowego radźcę, w Cesarskiéj Wileńskiéj Medyko-Chirurgicznéj Akademii Adjunkta, dającego *Farmacyą* i *Botanikę*,

Cesarskiego towarzystwa medycznego członka i t. d.

Część piérwsza tej pożytecznéj pracy jest już zupełnie prawie ukończona: zawiéra ona w sobie: *Wstęp*, w którym się wykłada znaczenie, cel i rozległość nauki *Historyi naturalnéj*, tudzież opisanie i podział jéj przedmiotów czyli istot przyrodzenie składających. Naukę *o źwierzętach w ogólności*, w któréj opisują się organa źwierząt, ich funkcye życia i t. d., tudzież siły ich duszne: sekcyą tę *części piérwszéj* kończy podział źwierząt na klassy, sposobem Linneusza: klassę piérwszą, *o źwierzętach ssących*, któréj opisanie cech, składu członków rozmaitych, tudzież ich przeznaczenia, w funkcyach życia, kończy wykład pożytków ze *źwierząt ssących*, oraz podział ich na rzędy, przez Linneusza, i poprawa tego podziału przez Blumenbacha.

Znajome chlubnie zdolności i usposobienia PP. Alfonsa Kumelskiego i Stanisława Gorskiego, spodziewać się każą, że ta ich praca przeznaczeniu swojemu odpowie.

SPISANIE RZECZY, W TOMIKU PIĄTYM ZAWARTYCH.